UMCS
LUBLIN

11	12	13	14	
24		25	26	27
37	38		39	40
	50	51	52	53
62	63	64		65
76	77		78	79
89	90	91	92	93
103	104	105		106
115	116	117	118	119
120	129	130	131	132
142	143	144	145	146

900 zgłoś się! str. 3. 8

Staropolski karnawał str. 11

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137—7108 Nr indeksu 35251

kamena

NR 3 (875) 8 lutego 1987 Cena 20 zł

STACHURA MARINA VLADY I INNI

Ireneusz J. Kamiński

CZY można jeszcze, czy wypada jeszcze o Stedzie, skoro już tyle o nim było? No i co w ogóle można jeszcze o nim, skoro uznano go już dawno za świętego Franciszka w dżinsach, a pani Chodakowska i uczeni krytycy, poeci i domorośli egzegeci galopują po kniejach i gościńcach ojczyzny naszej, niosąc wszędy słowo o Stachurze przy którym bledną ekspresyjne walory „Słowa o wyprawie Igora"? I czy takie mędlenie należy wzmacniać głosem własnym, skoro celebrowanie Steda w całej jaskrawości szczeniackiej histerii jego miłośników przypomina zagłaskiwanie kota — wszak straszne w skutkach? Jam nie poeta, jeno człek zatroskany o etat, znak „chlebowy" i godziwą emeryturę, w Annopolu byłem ze dwa razy, w Grudziądzu tylko raz, a w Tucholi miałem ledwie znajomego, ale swoje wiem: że każdej akcji towarzyszy reakcja — proporcjonalna do wielkości bodźca. Więc powiadam wam, ministrantom z łaski neurastenii i woli zniewolonej marzeniem o nirwanie bezpracochłonnej, powiadam wam oto, że co za dużo, to fałszywie a rejwach zapowiada ciszę martwą, wypełnioną jeno tępym znużeniem. I będzie tak, jak sam poeta przewidział:

zostałem sam w tej wysokości
zostałem sam w tej szerokości
siedzą po domach chomiki

Tymczasem, w drodze do tego celu, Stachura przechodzi kwarantannę — na stacji pt. kultura masowa: estradowa, prasowa, radiowa, telewizyjna, minoderyjna i zastępcza. Z ostatniej chwili: czytam oto na afiszu w stołówce studenckiej, w oparach z kapusty i kotletów rybnych à la schabowe, że 16 stycznia o godz. 19.15 w starej auli KUL-u niejaki Jan K. śpiewać będzie piosenki Stachury dla tych osób, które kupią bilety w hallu głównym lub bezpośrednio przed koncertem. Ogłoszenie jest niewielkie, napisane flamastrem w dwóch kolorach, jak wici dla wtajemniczonych w arkana duchowego doświadczania świata, ale merytorycznie odwzorowuje schemat komercyjnych anonsów agencji estradowej. Pojąwszy to, poszedłem po rozum do kieszeni, odrzuciłem

Dokończenie na str. 6—7

Polski sport

Chory, biedny i zdemoralizowany

Wiesław Horabik

PO raz 51-szy dziesięciu wspaniałych sportowców znalazło swe miejsce w plebiscytowych annałach „Przeglądu Sportowego". Po raz 51-szy wyłoniono zwycięzcę i po raz 51-szy prawda o polskim sporcie znalazła swe odbicie w osobach laureatów. Mam przed sobą ich nazwiska. Ja, namiętny kibic, nie znam trzech spośród nich. Nie czuję wstydu; może tylko smutek. Sądzę, że przeciętny miłośnik sportu zapytany, kim są: Janusz Darocha, Adam Kaczmarek czy Maria Gontowicz, miałby także poważne kłopoty z identyfikacją. Nie chodzi przy tym o umniejszanie ich wartości, o deprecjonowanie ich sukcesu — są mistrzami. Nie wątpię, że w 1986 roku byli najlepsi wśród całej plejady polskich sportowców. Gratuluję im i życzę jak najlepiej. Oni w swych dyscyplinach nie zawiedli. Jakże to jednak niewiele. Prawda, że polski sport jest chory, ujawniła się nie tylko na płytach stadionów czy parkietach sal. Znalazła swe potwierdzenie i w tym plebiscycie.

Wśród dziesięciu najlepszych nie ma ani jednego reprezentanta najpopularniejszych, najbardziej lubianych, tradycyjnie ważnych dyscyplin, jak: piłka nożna (rok Mundialu!), lekka atletyka, kolarstwo, boks, szermierka, koszykówka, siatkówka, żużel. Czyżby zatem jakieś przeniesienie akcentów? Zwrot w narodowych predyspozycjach? Całkowita zmiana warty? Nie, to polski sport jest chory!

Dokończenie na str. 11

Rys. Zbigniew Cieniuch

Miasto Łódź ma Rubinsteinów

Irena Filus

DLA pani Neli czas jakby zatrzymał się w miejscu. A może nawet troszeczkę cofnął? Gdyby żył Artur Rubinstein, jej mąż, miałby w tej chwili sto lat. Kobiecych lat się nie liczy, w każdym razie, kiedy została żoną sławnego pianisty, była młodziutką dziewczyną, a on miał czterdzieści sześć. Rzuciła swego pierwszego męża, także pianistę i pedagoga, Mieczysława Münza, dla starszego od niego, o całych czternaście lat, „Arturo Wspaniałego". Czy postąpiła słusznie? Ona mówi, że tak. Historia to potwierdza. Münza wspomina się tylko jako byłego męża pani Rubinsteinowej. Artura Rubinsteina na cały świat Nela Rubinsteinowa to właściwie Aniela z Młynarskich. Jest córką Emila Młynarskiego, dyrygenta, skrzypka i kompozytora, a jednocześnie wspaniałego organizatora życia muzycznego. Wsławił się szczególnie cenną dla muzyki polskiej działalnością w Operze Warszawskiej, gdzie, pełniąc funkcję dyrektora, wystawił wiele dzieł współczesnych kompozytorów. Matka Anieli, Anna Hryncewiczówna, była jego sąsiadką z majątku Ilgów nad Niemnem.

Dokończenie na str. 9

PRZEBUDOWA

BYŁO to plenum KC KPZR niezmiernie ważne, nie bałbym się użyć słowa — historyczne. To, co się obecnie dzieje w Związku Radzieckim, wywołuje ogromne zainteresowanie na całym świecie, a wygłoszony na plenum przez Michaiła Gorbaczowa referat stanowi przedmiot licznych analiz i komentarzy.

55-letni sekretarz generalny KC KPZR mówi językiem prostym, powszechnie zrozumiałym, językiem k o n k r e t n y m. Nie ukrywa błędów popełnionych w przeszłości, przedstawia je nie po to, aby kogoś potępiać, ale po to, aby wyciągać z nich wnioski, aby do tych błędów nigdy już nie mogło być powrotu.

Jest rok 1987. Przed siedemdziesięcioma laty obalono carski absolutyzm. Pod kierownictwem partii naród radziecki zbudował socjalizm, odbudował i umocnił gospodarkę narodową, przekształcił swą ojczyznę w potężne państwo.

Fakt — w potężne państwo, co do tego stwierdzenia nawet i wrogowie ZSRR żadnych wątpliwości nie mają. Niemniej czas nie stoi w miejscu, nowe wynalazki i odkrycia rewolucjonizują gospodarkę, teoretyczne wyobrażenia o socjalizmie nie mogą pozostawać na poziomie z lat trzydziestych — czterdziestych, kiedy społeczeństwo Kraju Rad rozwiązywało całkowicie inne zadania. Scholastyczne teoretyzowanie wywierało negatywny wpływ na rozstrzygnięcie wielu problemów: w praktyce gospodarczej i zarządzaniu pokutowały przestarzałe metody, a w podziale szerzyły się stosunki nie odpowiadające rzeczywistej dojrzałości społeczeństwa. Często faktyczna praca była zastępowana administrowaniem, działalnością na pokaz, papierkomanią. Ograniczenie praw przedsiębiorstw i zjednoczeń w zakresie rozrachunku gospodarczego prowadziło m.in. do obniżenia aktywności zawodowej i społecznej ludzi, do upadku dyscypliny i porządku. Doszło do naruszenia najważniejszej zasady socjalizmu — podziału według pracy. Wypłacano wielkie sumy nieuzasadnionych premii, różnego rodzaju dodatkowych zachęt, dopuszczano do fałszowania sprawozdawczości w imię wzbogacania się. Zgubny wpływ na moralną atmosferę społeczeństwa wywarły przypadki lekceważenia praw, mydlenie oczu i łapownictwo, popieranie ugodowości i pustosłowia. Poważne niedostatki w wychowaniu ideowo-politycznym w wielu przypadkach pokrywano organizowaniem pokazowych przedsięwzięć i kampanii, świętowaniem licznych jubileuszy. Świat codziennych realiów i świat pokazowego dobrobytu coraz bardziej rozchodziły się. Ideologia i psychologia zastoju wywarły także wpływ na stan kultury, literatury i sztuki. Obniżyły się kryteria ocen twórczości artystycznej.

W tej sytuacji — podkreślił M. Gorbaczow — **podjęty został problem przyspieszenia społeczno-ekonomicznego rozwoju kraju, p r z e b u d o w y** (podkreślenie M. Jes.). **W istocie chodzi o zwrot i kroki o charakterze rewolucyjnym. (...) Cofnąć się nie możemy i nie mamy dokąd.**

Jak sekretarz generalny KC KPZR rozumie tę przebudowę?

■ **Przebudowa** to zdecydowane przezwyciężenie procesów zastoju, zniszczenie mechanizmów hamujących, stworzenie niezawodnego i efektywnego mechanizmu przyspieszenia społeczno-ekonomicznego rozwoju społeczeństwa radzieckiego.

■ **Przebudowa** to oparcie się na żywej twórczości mas, to wszechstronny rozwój demokracji socjalistycznej samorządności, zachęta do inicjatywy, samodzielności, umocnienie dyscypliny i porządku, rozszerzenie jawności, krytyki i samokrytyki we wszystkich sferach życia społeczeństwa, to najwyższy szacunek do wartości i godności jednostki.

■ **Przebudowa** to wszechstronne wdrażanie ekonomicznych metod zarządzania, odejście od rozkazywania i administrowania, zapewnienie przejścia wszystkich ogniw gospodarki na zasady całkowitego rozrachunku gospodarczego i nowe formy organizacji pracy oraz produkcji, wszechstronne popieranie nowatorstwa i socjalistycznej przedsiębiorczości.

■ **Przebudowa** to zdecydowany zwrot ku nauce, rzeczowe partnerstwo nauki i praktyki.

■ **Przebudowa** to priorytetowy rozwój sfery socjalnej, coraz pełniejsze zaspokajanie potrzeb ludzi radzieckich w zakresie dobrych warunków pracy, życia, wypoczynku, oświaty i opieki lekarskiej.

■ **Przebudowa** to energiczne uwalnianie społeczeństwa od wypaczeń w dziedzinie moralności socjalistycznej, konsekwentna realizacja w życiu zasad sprawiedliwości społecznej; to jedność słów i czynów, praw i obowiązków; to docenianie uczciwej, dobrej jakościowo pracy, przezwyciężenie tendencji egalitarnych w wynagradzaniu, konsumpcyjności.

W sumie przebudowa to głęboka odnowa wszystkich stron życia kraju, nadanie socjalizmowi najnowocześniejszych form organizacji społecznej, najpełniejsze ujawnienie humanistycznego charakteru ustroju ZSRR we wszystkich jego decydujących aspektach — gospodarczym, społeczno-politycznym i moralnym.

Wymieniłem skrótowo myśli M. Gorbaczowa, ale, jak sądzę, te najważniejsze. Właśnie taką przebudowę ZSRR już rozpoczął, teraz nabiera ona nowej jakości. Sekretarz generalny KC KPZR wymienił to, co dotychczas w ramach tej przebudowy osiągnięto, szczególnie akcentując konieczność dokonania dalszego przełomu w świadomości społecznej, w psychice i myśleniu, w nastrojach ludzi. Są już i pierwsze osiągnięcia gospodarcze: m.in. w pierwszym roku nowej pięciolatki wytworzony dochód narodowy wzrósł o 4,1 proc. przy planowanych 3,9 proc., a wzrost produkcji przemysłowej wyniósł 4,9 proc., o jedną trzecią więcej niż średni roczny przyrost w poprzedniej pięciolatce.

Oczywiście wszystko to (M. Gorbaczow przytacza wiele przykładów) stanowi dopiero **początek drogi. Nie** wszyscy dotrzymują kroku wymaganiom życia. Niemało jest ludzi, którzy powoli wyzwalają się od ciężaru przeszłości, wyczekują, a nawet otwarcie hamują sprawę. Jeszcze nie wszyscy zrozumieli, że pracować po nowemu oznacza zdecydowaną rezygnację ze starych nawyków i metod. **A przecież każdy z nas** — podkreślił sekretarz generalny KC KPZR — **powinien rozpocząć przebudowę od siebie.**

Obszerny rozdział wystąpienia M. Gorbaczowa dotyczy propozycji Biura Politycznego mających na celu pogłębienie demokracji socjalistycznej i rozwinięcie samorządności ludu. **Porządek w domu może zaprowadzić jedynie człowiek, który czuje się jego gospodarzem. Rozwój demokracji w produkcji jest najważniejszym kierunkiem pogłębienia i rozszerzenia całej demokracji socjalistycznej.** Życie postawiło na porządku dziennym konieczność opracowania takiego podstawowego aktu prawnego, jak ustawa o przedsiębiorstwie państwowym (tekst ustawy rozdano uczestnikom plenum). **W ustawie proponuje się realizację jednego z najważniejszych postanowień zjazdu partii — polityki wykorzystywania demokracji bezpośredniej.** Przewidziane w projekcie przyznanie ogół-

Dokończenie na str. 4

z notatnika

21 I. Wydział Ideologiczny i Informacji KW PZPR w Lublinie wspólnie z rzecznikiem prasowym wojewody przystąpił do organizowania stałych konferencji prasowych. Pierwsza odbyła się dzisiaj i dotyczyła planu pięcioletniego województwa lubelskiego. Przedstawiciele władz przybyli w mocnym składzie, dziennikarze też nie zawiedli, więc może ta gadanina nie pójdzie na marne.

Narzekamy i w Lublinie na budownictwo mieszkaniowe, ale widocznie (?) jest to zwykłe malkontenctwo: jak usłyszałem, w latach 1976—1980 wzbogaciliśmy się średnio o 295 800 m kw. powierzchni, natomiast w 1986 wznieśliśmy tych metrów kwadratowych aż 297 826. Skoro jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Ano dlatego, że w tamtych czasach średnia mieszkaniowa wynosiła 50,9 m kw., a dzisiaj — 57,2 m kw. Liczba mieszkań zmniejszyła się wprawdzie o 1300, ale te, które wzniesiono, są pojemniejsze (co nie oznacza, że — dodam — s o l i d n i e j s z e!). Pod względem budownictwa nasze województwo znajduje się w czołówce krajowej i nawet przed szpitalem przy Al. Kraśnickiej zapaliło się zielone światło. Przewiduje się, że już w 1992 r., a więc z a l e d w i e po 17 latach od położenia kamienia węgielnego, inwestycja zostanie przekazana do użytku. Jest więc pewna nadzieja, że dożyję momentu uroczystego przecięcia wstęgi (bandaża), jeśli oczywiście wstęgę (bandaż) uda się zakupić.

Dociekliwy red. E. Skarżyński z tygodnika „Veto" pytał, co z oczyszczalnią ścieków na Hajdowie. Stanie, ale na jej dokończenie potrzebne są z i e l o n e. Tych zielonych wcale nie będziemy dawać zagranicznikom, ale własnym, p o l s k i m firmom, w których wyrobach znajduje się tzw. wsad dewizowy.

Aż dziw, że opłaty telewizyjne ciągle pobierają od nas w złotówkach, a przecież prezes Roszkowski miałby święte prawo zażądać choć po dolarze od aparatu, jako że możemy oglądać nie tylko red. Dyję (ostatnio rzadziej), ale i Alaina Delona.

31 I. W tygodniku „Odrodzenie" obszerna dyskusja na temat telewizji. Zabierają w niej m.in. głos: Mieczysław F. Rakowski, Aleksander Krawczuk, Władysław Loranc, a także Andrzej Bober i Jerzy Redlich, dość popularni dziennikarze, prowadzący do grudnia 1981 r. program TV pt. „Listy o gospodarce". Przeczytałem wszystkie wypowiedzi, niektóre spośród nich wzbudziły u mnie tzw. mieszane uczucia, ale zachowam je dla siebie. Pragnę jednak zacytować urywek z dyskusji, który szczególnie utkwił mi w pamięci. Dotyczy on serialu „Alternatywy 4", który zaczęto nakręcać przed stanem wojennym, a zakończono w czasie trwania stanu wojennego. „Oglądałem to — stwierdził Mieczysław F. Rakowski. — Zatrzęsło mnie, gdy zobaczyłem nazwiska aktorów. Byli to ci sami, którzy odmawiali występów w telewizji w tym czasie. A spokojnie kręcili sobie ten serial".

Kręcenie należy dziś do przeszłości, zbłąkane owieczki pokazały się nie tylko w „Alternatywach", chciałoby się powiedzieć: stare wraca, ale przecież nie wypada, bo taka na przykład pani Z-H zawsze jest młoda. Już nie trzeba zapraszać do TV aktorów lubelskich: rok 1987 to nie rok 1982...

(Dla Wietnamczyków np. bieżący rok jest rokiem kota. Oczywiście koty bywają różne — jedne drapią, a drugie się łaszą. Są takie, które potrafią obie te czynności robić niemal równocześnie. Osobiście za kotami nie przepadam, wolę psy, ale z kolei mój pies, Ami, ubóstwia koty, niestety one nie potrafią trafnie odczytać jego przyjacielskich zamiarów i pokazują pazurki. Jeśli jeszcze raz jakieś kocisko trzepnie go łapą po nosie, jego upodobania mogą się zmienić diametralnie!)

Nawiązując jednak do wypowiedzi M. F. Rakowskiego pragnę stwierdzić, że mnie tam już nic nie trzęsie. Nie poirytował mnie nawet opublikowany w „Kurierze Lubelskim" dość oryginalny zestaw nazwisk osób, które mają wyrażać swą opinię na temat przyznania nagrody artystycznej m. Lublina. Sądzę, że nawet los nie byłby tak złośliwy, no ale skoro mamy sobie wzajemnie dawać buzi, to dobrze jest, jak jest.

Inna rzecz, że owa nagroda artystyczna miasta Lublina dla wybitnej indywidualności za konkretne wybitne dzieło ma wynosić „aż" 100 tysięcy złotych, mniej więcej połówkę kolorowego telewizora. „Kurier Lubelski" określił tę nagrodę w krzykliwym tytule jako „Oskar prezydenta". Dziw, że kurierowy felietonista, Paweł nie sprostował błędu korektorskiego i nie napisał, że nie powinno być o s k a r, ale o s k a r d! W tym miejscu przypomnę, że łomżyński tygodnik „Kontakty" przyznaje 100 tysięcy zł nagrody za jeden r e p o r t a ż. Ale co Łomża to Łomża. My w Lublinie twórców mamy na pęczki i rozpieszczać ich nikt nie zamierza.

1.II. Otrzymałem list, którego autorka krytykuje Lidię Wójcik za jej reportaż z Kurowa, zamieszczony w jednym z poprzednich numerów „Kameny". Tak to już jest z Lidią: zawsze wchodzi z butami i jątrzy! I taką wichrzycielkę (!) przygarnęła ostatnio Warszawa. Ci w stolicy naprawdę nie wiedzą, co czynią! Wyobrażam sobie, jak dopiero teraz sobie pohasa i oczerni lubelskie świętości! Już jej niżej podpisany nie będzie mógł tego czy tamtego wyperswadować, to czy tamto bezceremonialnie wykreślić! Chociaż, kto wie, może właśnie Warszawa pozwoli jej bardziej sentymentalnie spojrzeć na Lublin?

Na razie wracam do Kurowa. „Skąd Pani zobaczyła (to pod adresem Lidii, choć list skierowany był na moje nazwisko, czyżby donosik?) baranice i wozy konne czekające na pobożnych wychodzących z kościoła? Ja tyle lat nie widziałam już takiego obrazka. Kurów jest dużą gminą i wielu gospodarzy uczęszcza do kościoła, ale raczej w modnych futrach kożuszkach i polonezami czy fiatami" — czytam słowa czytelniczki „Kameny", która pod swą epistołą podpisała się: „Oburzona dyletanctwem Dziennikarki (tak, tak, przez duże „D") Mieszkanka Kurowa".

Droga Pani, Mieszkanko Kurowa — odpowiadam — nie wiem. Zapytam Lidii, gdy zjawi się gościnnie w naszej redakcji. Ja tylko mogę się cieszyć, że polonezami jeździ się nie tylko w Lublinie i w Pekinie, ale również i w Kurowie. Radziłbym jednak dobrze patrzeć na numery rejestracyjne tych polonezów. Może się bowiem zdarzyć, że to któryś z lubelskich czy puławskich prominentów podjeżdża w niedzielę do kurowskiego kościoła, by tam, z dala od swoich, klęczeć pod konfesjonałem?

A swoją drogą, dlaczego tak skrzętnie ukrywa Pani swoje imię i nazwisko? Wydawało mi się, że tylko autor „Plotkarni lubelskiej" (vide: trzy ostatnie numery sobotniego magazynu „Sztandaru Ludu") ukrywa się pod „kryptonimami": T w ó j, T f u j i My. Aż szkoda, że takie perły satyry wejdą do literatury anonimowo!

I jeszcze jedno, gdy mowa o plotkarni lubelskiej, ale tej p r a w d z i w e j plotkarni, kiedy słowo pada z ust, a nie z łamów. Aż dziw, że poważni skądinąd ludzie zachowują się jak w maglu, dokonują przeróżnych przesunięć personalnych: zdejmują ludzi ze stanowisk, przenoszą ich z funkcji na funkcję, zawieszają, wyrzucają. Strach pomyśleć, co by było, gdyby w ich rękach znajdowała się rzeczywiście władza!

Kolejna sprawa: Waldemar Michalski udzielił wywiadu Janowi Henrykowi Cichoszowi (gdzie — mało ważne, bo nie o tytuł pisma mi chodzi). Tak powiedział o swojej pracy na stanowisku sekretarza redakcji k w a r t a l n i k a: „...musisz wiedzieć, że nie jest to funkcja od godziny do godziny — jest to po prostu stan pełnej gotowości do obcowania przez okrągłe 24 godziny na dobę z problemami redakcyjno-wydawniczymi". Pal licho to „okrągłe", który to przymiotnik tak tępił mój ojciec, ale drogi Waldku, zarezerwuj sobie choć sześć godzin na sen, ORMO czuwa! Ja w Twoim wieku jak sobie przypominam, będąc sekretarzem redakcji d z i e n n i k a, miałem czas i na wódkę, i na panienki, i na karty. A dziennik ów oceniano wówczas wysoko, kierował nim późniejszy twórca rządowego organu „Rzeczpospolita"!)

Na koniec ciekawostka z piątkowo-niedzielnego „Sztandaru Młodych". Cytuję w całości:

„Zmieniają się szkolne obyczaje. Długo trwało nim przyzwyczajono się do nieco większej swobody na balach maturalnych, ale studniówki stale w wielu szkołach odbywają się w formie tradycyjnej co do jadłospisu, programu, a nawet stroju.

Nową tradycję dla męskich placówek oświatowych tworzy Zespół Szkół Budowlanych w Gorzowie. W piątek (23 01) już po raz trzeci z rzędu zorganizował dla 89 swych tegorocznych maturzystów (z koleżankami) „studniówkę" w miejscowej restauracji „Mieszko" ze... striptizem w programie rozrywkowym".

Ciekawe, czy rozbierała się pani od wychowania plastycznego? Ze też człowiek tak wcześnie przyszedł na ten świat! Jak pamiętam, na studniówce naszej klasy był tylko striptiz męski: koleżanki uprzejmie pozwalały nam zdejmować marynarki...

M. A. Jaworski

PS. W poprzednim n-rze zapowiedziałem druk kolejnego odcinka: „Wśród Polaków za Odrą". Napisałem go, ale w ostatniej „Polityce" znalazłem korespondencję Leszka Mazana z Czechosłowacji. Okazuje się, że nasze spostrzeżenia z Zaolzia są prawie identyczne (on np. też zwrócił uwagę na horrendalne ceny polskich książek w Czeskim Cieszynie). Aby nie być posądzony o plagiat, zmuszony jestem mój tekst wycofać, ponieważ w tej sytuacji wymaga on gruntownej przeróbki. Przepraszam zainteresowanych tematem...

900 zgłoś się!

Wiesław Horabik

„Oddział telefonów międzymiastowych pracuje całą noc. Wprawdzie obsługa z dwustu osób spada na dwanaście, jednak każdy, kto chce gadać nocą z dalekim przyjacielem czy ważnym wspólnikiem, może to zrobić tanio.

Dwanaście młodych kobiet siedzi po dwu stronach długich stołów. Pochylone, ze słuchawkami na uszach, mają pozór wróżek, które się pochylają nad szmerami losu. Przykładam do skroni jedną ze słuchawek.

— Mój numer dwieście sześćdziesiąt cztery — trzynaście, proszę Łódź sto czterdzieści pięć — sześćdziesiąt sześć — mówi smutny głosik damski.

— Przyjęto — odpowiada wróżka.

Ogarnia mnie radość. Przyjęte zostało życzenie smutnej pani, otrzyma zaraz Łódź, a w niej swój numer szczęśliwy, najlepszą swoją szansę.

Komisariat policji żąda połączenia z urzędem śledczym w Krakowie.

— Przyjęte — odpowiada wróżka.

— Przyjęte? — przerażam się. Więc tak samo brzmi wyrok śmierci jak i wyrok życia? Wróżka robi kilka gestów nad swoją skrzynką — już zamotała czar. Teraz sięga po puderniczkę. Wtedy oddycham. Nie, to nie wyroki ostateczne, od wróżek do demiurgów zostaje odwołanie.

Przy stole międzynarodowym panienka pyta:

— Allo, qui êtes vous? Quel rumèro? Monsieur Rubinstein?

Z sali wychodzę zupełnie spokojna — kupcy czuwają nad światem.

Z przyczyny kobiecości, której pełno w telefonach, przemądre, niezabawne aparaty nabierają cech domowych, zaczynają udawać różne zabawne albo poczciwe rzeczy. Automaty międzymiastowe do wewnętrznego użytku przypominają szafy z klockami, z łamigłówką alfabetyczną, wybierak grupowy to po prostu termosy na półkach, przełącznica, to szafa ze szczotkami, coś, co się nazywa „wielokrocie", to luste liszki, pręgowane, z jedwabnych drutów; tu widać puszki apteczne, ówdzie irygatory, gdzie indziej wnętrze pianina albo tablice ukledone z baniek... A jednak nie zapominajmy o istocie, która ukrywa ostatnia kabina, o pulsującej gorączkowo ośmiornicy liliowego koloru, o dwudziestowoltowym monstrum, którego pseudonim brzmi: prostownik rtęciowy".

TAK w „Wiadomościach Literackich" z 1938 roku opisywała Maria Kuncewiczowa centralę międzymiastową, usytuowaną w Warszawie przy ulicy Nowogrodzkiej. Nic dodać, nic ująć i dziś, choć piszę o Lublinie anno 1987. Może tylko tej ośmiornicy nie dostrzegłem, no i Kuncewiczowa weszła po prostu na salę, podczas gdy ja musiałem czekać trzy dni na przepustkę i powiadomienie odnośnych dyrektorów o mojej wizycie (rozplenia się nam biurokracja i obszary tzw. stref szczególnej ochrony), a potem cały czas pilnował mnie rzecznik prasowy Dyrekcji Okręgowej Poczt i Telekomunikacji. I zobaczcie państwo: w styczniu 1987 roku w lubelskiej centrali ręcznej z dwustu panienek pracujących tu w ciągu dnia (sic!), po południu pozostaje czterdzieści, a w ciągu nocy — trzy. (Warszawa w latach trzydziestych miała około trzydziestu tysięcy telefonów, Lublin w 1987 roku ma ich około czterdziestu tysięcy.) Króluje tu ta sama co przed półwieczem, niezmienna w swej istocie kobiecość, ręce wróżek unoszą się w tym samym geście „omotania", realizując ten sam typ uszczęśliwiania i te same zasmucenia. Czy to nie impuls do zadumy nad przewrotnością przemijania?

Stoły są też długie, choć jest ich znacznie więcej niż dwa; tworzą przy tym odnogi, rozszczepiają się załamaniami, rozchodzą po całej tej sali, wspartej na prostokątnych kolumnach oblepionych dziwną mozaiką. Powietrze jest tu gorące i suche, i nie pomagają nawet szeroko pootwierane okna. Zasycha w gardle. Na blatach łącznic rzędy szklanek z herbatą. Z frontu wielka szkolna tablica z wypisanymi kredą nazwami miejsc, do których łącza są dziś uszkodzone (powiew egzotyki): Liban, Iran, Indie, częściowo Włochy i Hiszpania; z Polski — jedynie Stężyca. Błyskają drobne światełka, szumią wymieszane głosy. Magiczne, bezosobowe numery, którymi posługujemy się na co dzień, przybierają nagle ludzki wymiar.

Oto 900 — zgłoszenia. W rzeczywistości numer wieloosobowy. Ukrywa się pod nim czternaście pań, mających do dyspozycji osiemnaście tzw. wyjść. Zapisują na karteczkach zamówienia, by przenieść je potem do kolejnego długiego rzędu, gdzie rozmowy będą realizowane. (Tu chyba byłaby szansa na usprawnienia). 909 — to reklamacja; dwie panie, które najwięcej nasłuchają się skarg i wyrzekań. Tu już poza suchą wymianą zdań możliwy staje się strzępek ludzkiej rozmowy. 913 — informacja; trzy kobiety zagłębione w grubych księgach, które to księgi trudno nawet unieść w dłoni, takie są opasłe. Kartki, dla większej trwałości, pokryte przezroczystą folią. Szperanie w długich wykazach nazwisk, imion i adresów. Ileż niecierpliwości potrafi wzbudzić to wertowanie po drugiej stronie kabla. Jak nieoczekiwane bywają nieraz żądania. „Proszę pani, to jest gdzieś niedaleko Lipowej". Starsze pracownice zachowują w pamięci całe bloki numerów. Telefony niektórych instytucji otrzymuje się od razu.

Najbardziej fantazyjne jest chyba biuro zleceń — 917. To jakby ludzki wybryk, zaprogramowany na realizację człowieczych zachcianek. Budzenie i przepisy kulinarne, jak dojechać z dworca na Czechów i hasło do krzyżówki. (Czy także z „Przekroju"?) To najbardziej spersonifikowany numer z wymienionych dotąd. No bo budzenie — zgoda, dojazd także, ale przepis na biszkopt? Ileż tu możliwości rozwinięcia rozmowy, zagłuszenia samotności, nawiązania kontaktu. „Bigos? Wie pani, z tym polowaniem to było tak...". Na stoliku stos encyklopedii, map i informatorów. A przy nich człowiek. Jakże często o tym zapominamy. „Ja pani pokażę! Pani nie wie, z kim rozmawia". Łatwo nadąć się przez telefon, gdy nie można spojrzeć sobie w oczy. Łatwiej rzucić słuchawkę, niż odejść z podniesioną głową. Jakże często jednak i panienki zapominają, że człowiek prosi je o usługę. „Proszę pani, przez ten czas to ja już bym dojechał do tego Łukowa". „To se pan jedź". „Proszę pani, potrzebna mi do pracy prawidłowa nazwa wsi Horodysk lub Horodysko. Wy tam macie spis miejscowości". „Nie jestem informacją turystyczną". Jakże często panienki nie czekają nawet na zwykłe „dziękuję". Czy to tylko pośpiech? Nie, to już inna sfera, obszar dobrego wychowania, kultury osobistej, umiejętności współżycia.

Lubelska rozmównica ręczna dokonuje około czternastu tysięcy operacji na dobę. Bywa, że doświadczona pracownica wykona około pięćdziesięciu połączeń na godzinę. Co minutę jedno. Jak start samolotów na lotnisku Heathrow. W suchości powietrza, w zatroskaniu o zakupy, w zamyśleniu nad chorobą dziecka. Czy to tłumaczy brak wychowania? Nie, ale wyjaśnia choćby pośpiech, odarcie z oczekiwanego nieraz przez klienta, ludzkiego zainteresowania. Klienci, jak to ludzie, także dzielą się na gburów i uprzejmych, dowcipnisiów i małych, złośliwych ludzików, czerpiących radość z rozklepanej na ścianie muchy. Ci uprzejmi na pewno szybciej dostają swoją szansę. Takie jest prawo życia w cywilizacji.

W centrali siedzą kobiety w różnym wieku, najwięcej jednak młodych, tuż po maturze. (Często trafiają tu niedoszłe studentki.) Mężczyźni jakoś nie pasują do tego otoczenia. (To tak jak pielęgniarze.) W tych obszarach kobiecości, jak chichot losu kręci się tylko jeden — technik. Czuwa, by pospieszyć z pomocą na wypadek awarii. (Ten to ma życie!) Mężczyźni unikają tej pracy także ze względu na zarobki. Górna pensja telefonistki — osiemnaście tysięcy (z dużą wysługą lat): na stażu — iedenaście; średnio — piętnaście. Opłaty za mieszkanie potrafią pochłonąć — siedem. Stąd duża rotacja załogi. Jest jeszcze przecież praca w niedziele i święta, po południu i w nocy. (Dwa razy w tygodniu — popołudnie, raz w miesiącu dyżur nocny, dyżur co trzecią niedzielę i tylko co trzecia sobota wolna.) Miesiąc popracują i odchodzą. Niedobory w zatrudnieniu wynoszą w okresie letnim około pięćdziesięciu pracownic, zimą około trzydziestu. Czasami wesprze załogę hufiec OHP ze szkoły łączności, a czasami wzywa się w nagłych wypadkach pracownice z domu. Jak w służbach specjalnych. Otrzymują wtedy dodatkowe wynagrodzenie — osiem złotych za każdą rozmowę w ruchu ręcznym. Pięć złotych w ruchu półautomatycznym (takie łącza istnieją także w tej centrali).

Na wolnym skrawku ściany jedyny obrazek — zdjęcie warszawskiej rozmównicy sprzed lat. To także jakby nieświadome nawiązanie do Kuncewiczowej. Po prawej ręce za halą — pokój dyżurny. Tutaj w ciągu nocy jedna z trzech dyżurujących telefonistek może chwilę odpocząć. Są w tym pokoju kwiaty, fotele klubowe i miękka kanapa, jest tu także telefon, choć pełno ich przecież tam obok; stąd można jednak poflirtować bez obawy o mimowolny nawet podsłuch. Ten pokój jest przytulny. W odróżnieniu od hali. Dlaczego u nas miejsce pracy musi być zawsze odrapane i zaniedbane? Dlaczego telefonistki przy łącznicach nie mogą siedzieć w wygodnych fotelikach? Dlaczego w hali nie może być klimatyzacji z prawdziwego zdarzenia?

Po lewej stronie — curiosum. Coś, co mnie zdumiało swą niezwykłością i wprawiło w zażenowanie, graniczące z uczuciem niepewności. To postrach pracujących tu kobiet — nasłuch kontrolny. Ukryta za ścianą kontrolerka podsłuchuje nieświadomą tego faktu pracownicę. Operacja taka trwa około godziny. Wnioski wędrują do personalnej teczki. Urządzenie wyposażone jest we wzmacniacz, tak że pracę podsłuchiwanej mogą usłyszeć wszyscy znajdujący się w pokoju kontrolnym. „Boże, żeby tylko nie zaczęła kląć" — wzdycha kierowniczka. Zaimponowała mi ta kontrola, ale zaimponowała w dziwny sposób. Odczułem bowiem pewien bunt. Zawsze jest w podsłuchiwaniu coś niemoralnego. Wycofałem się pospiesznie. Zjawisko to wzburzyło mnie i dlatego, że mocno nadszarpnęło moje zdecydowanie, by dogryźć telefonistkom (sam nieraz także od nich oberwałem). Dużo jest narzekań na ich pracę. Ale państwo nauczyciele, co byście powiedzieli, gdyby tak dyrektor mógł niepostrzeżenie posłuchać prowadzonej przez was lekcji? A budowlani? Gdyby tak kierownik mógł podpatrzeć na ekranie częstotliwość układania cegieł, o przepraszam, wielkiej płyty? Ów nasłuch wydaje mi się niekwestionowanym wzorcem kontroli, wśród setnych i tysięcznych jej odmian na naszych stanowiskach pracy. (Gdyby tylko nie ten aspekt moralny.)

Jak zatem jest naprawdę ze skargami? Czy mogą w ogóle istnieć przy takiej obserwacji?

Pani Urszula Ziółkowska, zakładowy kontroler do spraw skarg:

— Proszę sobie przejrzeć moją książkę. Tu mam spisane wszystkie zażalenia za ubiegły rok i lata poprzednie. Zapoczątkowałam już nową kartę na 1987 rok.

Książka prowadzona jest niezwykle starannie. Zdecydowana większość skarg dotyczy naliczania opłat za przeprowadzone rozmowy. To w ogóle pięta Achillesowa całej naszej poczty, zwłaszcza w związku z licznikami automatycznymi. Czego ja się nie nasłuchałam od abonentów telefonów. Komuś wyliczono należność dwanaście tysięcy złotych, podczas gdy cała rodzina bawiła na urlopie, tam znów rachunek wyniósł czterdzieści tysięcy, z czego po kilku miesiącach odesłano klientce dwadzieścia. Ten znajomy dzwonił za darmo do Francji, podczas gdy tamten rozmawiał ponoć z Londynem, choć londyńczyków zna tylko z opowieści. To wielki i bulwersujący, oddzielny temat. Temat, który powinien być jak najspieszniej podjęty, gdyż stanowi jeden z obszarów autentycznej frustracji społecznej.

Drugi typ skarg stanowią zażalenia na nietaktowne zachowanie się pracownic. Każda ze skarg jest wnikliwie badana, a po rozpoznaniu trafia do rubryki „słuszna" lub „nieuzasadniona". Na czternaście tysięcy operacji dokonywanych przez centralę średnio w ciągu doby, w 1986 roku zanotowano pięćdziesiąt jeden zażaleń na piśmie, z czego trzydzieści dwa zakwalifikowano jako uzasadnione. To procent naprawdę znikomy. (Choć czy każdemu zaraz chce się chwytać za pióro?)

Jak to jest więc naprawdę?

Ano zwyczajnie, jak w życiu. Po obu stronach kabla siedzą przecież ludzie.

— Jakie trudności przeżywa centrala?

Kierownik Wydziału Ruchu Telefonicznego, pani Bronisława Purc:

— Przede wszystkim ta rotacja. Bywa i tak, że pracownica z popołudniowej zmiany idzie rano do lekarza i na godzinę przed rozpoczęciem pracy informuje o zwolnieniu chorobowym. A

Dokończenie na str. 8

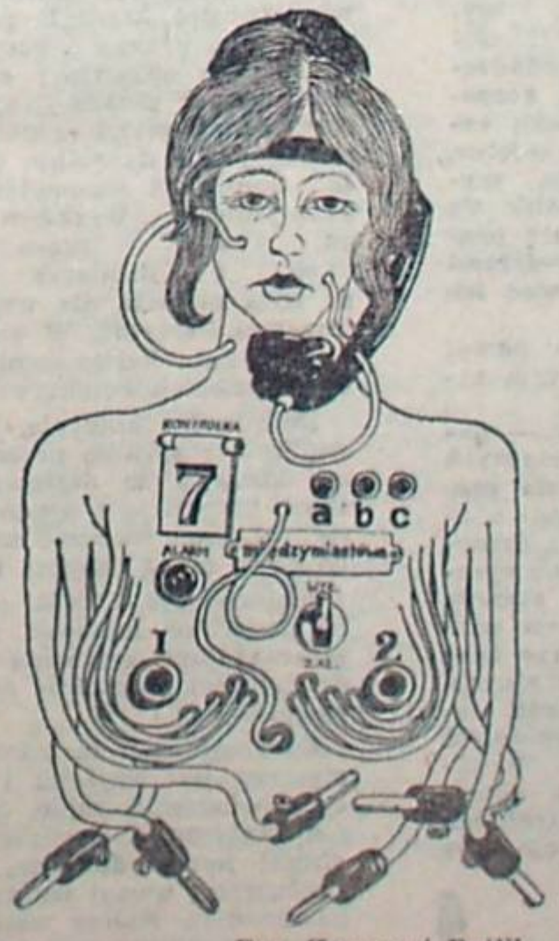

Rys. Zygmunt Pytlik

Nobilitacja bez nici i opału

Maria Denys

NA twórczość ludową zwykliśmy patrzeć z drugiej strony kiermaszowej lady, festiwalowych estrad i wystaw, przymierzając jako masowy odbiorca wartość dzieła i wyrobu do własnych gustów i kieszeni. Chętniej też zwykliśmy nadstawiać ucha rubasznej, ludowej satyrze, niż refleksjom płynącym spod strzech i z pól, choć te pierwsze — strzechy — są już unikalne, i konia z rzędem dla tych, co jeszcze potrafią je na dachach ułożyć.

Niekiedy w autentyczny podziw nad dziełem sztuki ludowej wkrada się zazdrosne mniemanie, iż takiemu twórcy to dobrze. Wystruga coś kozikiem, ulepi z gliny, pociągnie pędzlem po szkle i ma. Skoro tak, to bierzmy się za pędzle, koziki, garście gliny! Strugajmy, lepmy, malujmy! Nie wychodzi nam lub tylko trochę się udaje? No, niestety, ale „trochę" to jeszcze nie sztuka.

Więc nie zazdrośćmy tym, co wiedzeni talentem, rodzinną i regionalną jeszcze tradycją, śmigają owym przysłowiowym kozikiem, choć wyparły go już dawno rzeźbiarskie dłuta, i tym, co spracowanymi przy gospodarstwie rękoma malują, kują, haftują, tkają, grają i do rymu piszą, jeszcze i w gwarze swej ziemi. Bo może to już ostatni, co tak sztukę ludową wodzą?

Oczywiście, przemijają i przemijać będą te dyscypliny sztuki i rzemiosła ludowego, które nie wytrzymują próby czasu i zachodzących w nim przeobrażeń społecznych i kulturowych. Proces tych przemian jestem w stanie zrozumieć. Trudniej natomast pogodzić się z faktem codziennych utrudnień i braków, które z ogromnego dorobku narodowej kultury — a niemałą przecież jej cząstką jest twórczość ludowa — eliminują pewne dyscypliny i rzemiosła.

Jak kontynuować tradycje regionalnego budownictwa i stroju, kiedy wykruszyli się, zniechęceni finansowymi przepisami, znający swój fach rzemieślnicy? Na Podhalu nieliczni już tylko ostali się na przykład folusznicy (produkujący sukno) i kożusznicy wyszywający pięknie serdaki. Kto jeszcze słyszy o budorzach — cieślach podhalańskich, czy tych, u których można zamówić sprzęt pasterski? Bo też i owce z Tatr zostały wypędzone. I ani się przez to więcej nie uchroniła przyroda, a zanikło coś bardzo regionalnego, co trudno będzie — nawet po wprowadzeniu tzw. kulturowego wypasu na halach — przywrócić.

Stąd też w kręgach twórców ludowych, a ostatnio na VII Krajowym Zjeździe STL w Nowym Sączu (listopad 1986) rozległo się wcale donośne wołanie, m.in. o objęcie opieką i zrzeszenie tych nielicznych już rzemieślników wiejskich, których umiejętności i praca są warunkiem przetrwania pewnych regionalnych tradycji. I to nie tylko na Podhalu.

Na nowosądeckim forum twórców ludowych mówiono więc o zanikających strojach regionalnych i przemijającej sztuce haftu z prozaicznej wręcz przyczyny... braku nici, cekinów, aksamitu, sukna, koralików. Garncarze i kowale „dołożyli" jeszcze brak opału, od którego zależeć może ciągłość uprawianej przez nich sztuki.

Na potwierdzenie tego sięgnijmy do pierwszego numeru jedynego w Polsce kwartalnika STL „Twórczość Ludowa", i co tam czytamy? No, właśnie o braku opału, który spowodować może, iż ostatnie na Lubelszczyźnie, czynne warsztaty garncarskie, m.in. Jana Kwiatkowskiego w słynnym Pawłowie, trafić będą musiały — w najlepszym wypadku — do skansenu. Pisze o tym Eugeniusz Pawłowicz, a ja za nim przytaczam: „Zimą z braku opału garncarze nie pracują. Dla Jana Kwiatkowskiego np. 5 ton węgla umożliwiłoby pracę w warsztacie także i zimą, a 5 sągów drewna zapewniłoby ciągłą produkcję. Tymczasem garncarze ratują się drewnem sprowadzanym na okres lata aż z włodawskiego nadleśnictwa. Za 10 metrów drewna sągowego płacą z przywozem około 20 tys. zł. Trzeba na to sprzedać ponad 20 siwaków".

A rzeźbiarze? Rozmawiam z Adamem Doleżuchowiczem z Zakopanego, mistrzem rzemiosł artystycznych. Rzeźbi w drewnie od 50 już lat, i znany jest w kraju i za granicą ze swoich oryginalnych, rzeźbionych i polichromowanych szachów. Historycznych w temacie, bo to i bitwę pod Grunwaldem przedstawiających, i Odsiecz Wiedeńską, a także Niebo i Piekło z Ancykrystem i Aniołami.

Dotkliwy, nie tylko dla mojego rozmówcy, jest brak farb, pędzli, drewna. W sklepach, zaopatrujących w te przybory artystów plastyków, legitymacje twórców ludowych nie są honorowane. Niehonorowane są też i rachunki wydawane przez tych twórców, ogranicza to znacznie zbyt ich wyrobów artystycznych. I nie ma czego tutaj zazdrościć, kiedy uprawiana sztuka ludowa jest źródłem utrzymania.

— I nie ma chętnych — dopowiada pan Doleżuchowicz. — Starzy rzeźbiarze przemijają, młodzi się nie kwapią, bo ciężka to sztuka — rzeźbiarstwo.

No, właśnie, jak z tymi następcami jest? Czy są warunki do szkolenia młodych rękodzielników, bo braki tej kadry są najbardziej odczuwalne. Co może zaoferować na przykład kowal-twórca ludowy swojemu uczniowi, bodaj najzdolniejszemu? Nobilitujący tytuł? Czy zgodzi się taki młody terminować za darmo? Nie, będzie wolał z tą swoją kowalską smykałką zdobyć zawód w przyzakładowej szkole z internatem, pobierając każdego pierwszego niezłą — jak na młodego pracownika i ucznia — zapłatę.

Jaskółką pewnych rozwiązań jest ustanowiony w ubiegłym roku przez STL Fundusz Ochrony i Rozwoju Twórczości Ludowej. Zebrane na aukcjach sztuki ludowej, z prywatnych, dobrowolnych wpłat środki przeznaczone zostaną na pomoc dla młodych, nie zrzeszonych jeszcze w STL twórców i rzemieślników ludowych.

To jest już coś, aczkolwiek nie rozwiązuje jeszcze całości zagadnienia.

A oto problemy cięższej nieco wagi: konieczność zagwarantowania i ochrony praw autorskich twórców ludowych, zebranie w klarowną całość aktów prawnych dotyczących twórczości ludowej. Bo dalej — pomimo nobilitującego tytułu — nie wiadomo, kim ten twórca ludowy tak naprawdę jest? Jaki jego status?

Pokutują bowiem jeszcze w społeczeństwie krzywdzące to środowisko stereotypy, lokujące twórcę ludowego między — nazwijmy to — wiejskim oryginalem i ekscentrykiem, a lansowaną najczęściej przez masowe środki przekazu — szczerbatą babką podrygującą w takt oberka.

Sporo czyni rodzime STL — jedyne tego rodzaju stowarzyszenie nieprofesjonalnych twórców ludowych na świecie — by utrwalić w społecznej opinii i świadomości postać twórcy ludowego jako pełnoprawnego współpartnera wszystkich tworzących współczesną polską kulturę narodową.

Są jednakże problemy wykraczające poza kompetencję Stowarzyszenia. Dorzucić do nich można, za głosem dyskutantów VII Krajowego Zjazdu STL, postulat — zgłaszany od lat, a mianowicie — objęcie prawem do emerytur twórców folkloru, tj. muzyków, śpiewaków i tancerzy ludowych. Spraw trapiących środowisko twórców ludowych jest wiele, za wiele, by je tu w skrócie nawet przytoczyć, wartych osobnych publikacji. Są to problemy ostrym odbiciem codzienności, a jaka ona jest, każdy widzi. Są odbiciem czasu i zmian, jakie w nas i wokół nas zachodzą. I tym bardziej napawa obawą i troską to, by „wszystko — trawestując motto zjazdowe pochodzące z poezji Jana Pocka — co wzięte zostało z ludu, z wiejskiej chaty, było w kulturze narodu wiecznotrwałe".

PRZEBUDOWA

Dokończenie ze str. 2

rym zebraniom i radom pracowniczym pełnomocnictw dotyczących rozwiązywania spraw związanych ze sprawami produkcyjnymi, socjalnymi i kadrowymi stanie się ważnym politycznie posunięciem w kierunku przejścia — mówiąc słowami Lenina — do prawdziwej ludowej samorządności.

M. Gorbaczow wskazał też, że trzeba zdecydowanie zlikwidować wszelkie wahania w odniesieniu do ruchu spółdzielczego, które istniały w przeszłości, ale które dają się zaobserwować także i dzisiaj. Wciąż silne jest przywiązanie do administracyjno-biurokratycznych metod zarządzania. Niektórym towarzyszom trudno jest zrozumieć, że demokratyzm nie jest tylko hasłem, lecz istotą przebudowy.

W kolejnej części swego przemówienia sekretarz generalny KC KPZR stwierdził, że należy zająć się sprawą wybieralności kierowników przedsiębiorstw, zakładów pracy, działów, wydziałów, odcinków pracy, brygadzistów i mistrzów. Ponieważ ZSRR poszedł drogą przechodzenia przedsiębiorstw na pełny rozrachunek gospodarczy, samofinansowanie i samoopłacalność, robotnikom i kołchoźnikom nie może być obojętne, kto stoi na czele przedsiębiorstwa, działu, wydziału itd. Skoro pomyślność kolektywu stanie się zależna od zdolności kierowników, to ludzie pracy powinni dysponować realnymi możliwościami wpływu na ich wybór, a także kontrolować ich działalność.

Obieralność nie tylko nie podważa, ale nawet zwiększa autorytet przywódcy, czującego tym samym poparcie ludzi, którzy go wybrali.

Po nowemu — podkreślił M. Gorbaczow — należy też spojrzeć na rolę organizacji partyjnych i społecznych, a także organów zarządzania gospodarczego. Po XXVII Zjeździe KC otrzymał wiele propozycji mających na celu utrwalenie demokratycznych zasad życia partii. Większość ich sprowadza się do tego, aby w maksymalnym stopniu umożliwić wszystkim bez wyjątku członkom partii przedstawienie swej opinii przy wyborze sekretarzy biur partyjnych i komitetów partyjnych, a także, aby zwiększyć ich odpowiedzialność wobec tych, którzy ich wybrali. Należy też pomyśleć o zmianach w trybie wyboru sekretarzy komitetów rejonowych, okręgowych, miejskich, obwodowych, krajowych oraz komitetów centralnych partii republik związkowych. Są propozycje, aby przyjąć zasadę wybierania sekretarzy, w tym również pierwszych, w tajnym głosowaniu na posiedzeniach plenarnych stosownych komitetów partyjnych. Członkowie komitetu partyjnego mieliby przy tym prawo zgłaszania na listę kandydatów dowolnej liczby kandydatur. Zdaniem Biura Politycznego dalsza demokratyzacja powinna objąć też kształtowanie centralnych kierowniczych organów partii.

Rozważa się również dokonanie zmian w radzieckim systemie wyborczym. Napływają propozycje — stwierdził M. Gorbaczow — aby na spotkaniach przedwyborczych omawiano z reguły kilka kandydatur, a wybory odbywały się w większych okręgach wyborczych, w każdym z nich wybierano by kilku deputowanych. Obecnie z każdego okręgu wybiera się jednego kandydata. Sekretarz generalny KC KPZR opowiedział się za wniesieniem poprawek do systemu wyborczego i przedstawieniu ich do powszechnej dyskusji.

Demokratyzacja społeczeństwa po nowemu stawia kwestię kontroli pracy organów partyjnych, administracyjnych i gospodarczych, a także ich kadry. Już najwyższy czas, aby bezwarunkowo przestrzegać zasady systematycznego składania sprawozdań przed zespołami pracowniczymi i ludnością przez wszystkie osoby piastujące z wyboru lub nominacji stanowiska kierownicze. To będzie praktycznym wyrazem leninowskiego wymogu, aby praca organów obieralnych i działaczy szczebla kierowniczego była otwarta dla wszystkich, prowadzona przy otwartej kurtynie. W warunkach rozwiniętego demokratyzmu ludzie sami będą zaprowadzali porządek w swoich kolektywach, w mieście lub na wsi.

Doskonaląc kontrolę, należy natychmiast uporządkować sprawę przeróżnych lustracji i inspekcji, które teraz dosłownie zalewają przedsiębiorstwa, instytucje i organizacje, odciągając ludzi od sprawy oraz wnosząc nerwowość do pracy. Trzeba pójść drogą jakości, a nie ilości kontroli.

Uzdrawiając klimat społeczny powinno się dalej rozwijać jawność. Akty prawne tę jawność gwarantujące zapewnią maksymalną otwartość w działalności organów państwowych i organizacji społecznych.

Sprawdzonym instrumentem demokracji socjalistycznej jest krytyka i samokrytyka. Nie wszyscy uświadomili sobie, że konieczne jest wspieranie krytycznych nastrojów w społeczeństwie. Dochodzi nawet do tego, że niektórzy nawet najdrobniejsze uwagi traktują jako próbę podważenia ich prestiżu. Należy wspierać wysiłki środków masowego przekazu zmierzające do rozwinięcia krytyki i samokrytyki w społeczeństwie. Nie powinno być sfer niedostępnych dla krytyki. W całej rozciągłości — podkreślił mówca — odnosi się to również do środków masowej informacji.

Prawdziwa demokracja nie istnieje poza prawem i ponad prawem. Biuro Polityczne poparło propozycję opracowania w najbliższym czasie nowego prawodawstwa karnego. Został już przygotowany i wkrótce zostanie poddany pod dyskusję projekt ustawy o zasadach zaskarżania w sądzie sprzecznych z prawem działań osób urzędowych, które naruszają prawa obywateli.

Sekretarz generalny KC KPZR poruszył z kolei problem aktywniejszego powierzania młodzieży i kobietom stanowisk kierowniczych w organach władzy, w gospodarce narodowej. Jako ważny kierunek demokratyzacji życia społecznego określił on wysuwanie na stanowiska kierownicze bezpartyjnych.

Ostatnia część wystąpienia M. Gorbaczowa była poświęcona polityce kadrowej. Stabilność kadr jest potrzebna, ale nie można jej doprowadzać do absurdu. Niezbędne jest zdecydowane odnowienie polityki kadrowej, uwolnienie jej od wypaczeń i niedociągnięć. Decydującym kryterium w polityce kadrowej powinien być stosunek kadr do przebudowy.

Przemówienie sekretarza generalnego KC KPZR w całości znajdą czytelnicy na łamach „Trybuny Ludu" z 28 stycznia br. Jest to dokument obszerny, chwilami gorzki, ale w sumie bardzo optymistyczny. Ma on znaczenie nie tylko dla obywateli Związku Radzieckiego, dla obywateli innych krajów socjalistycznych, ale i dla całego międzynarodowego ruchu robotniczego. Przeciwnicy ZSRR już nie przeczuwają, ale wiedzą z całą pewnością, że zapoczątkowana przez nowe kierownictwo radzieckie przebudowa Kraju Rad zjedna idei socjalistycznej miliony nowych zwolenników na całym świecie. Zawodowi antykomuniści, „sowietolodzy", a przecież można takich znaleźć pod każdą szerokością geograficzną, będą musieli teraz zmienić metody swego działania i z pewnością — w miarę postępów na drodze p r z e b u d o w y, o której mowa — ich propaganda napotka na coraz większy sprzeciw nawet własnej opinii publicznej. Dzieje się zresztą tak już dzisiaj, gdyż pokojowe inicjatywy Związku Radzieckiego na arenie międzynarodowej nie mogą być traktowane lekceważąco. Świat bez broni atomowej! Jeśli ludzkość ma przeżyć, nie jest to hasło utopijne...

Mieczysław Jesion

Z ziemi obcej do Polski

Wojciech Jerzy Podgórski

Przez te same doliny, tymże
Tybru brzegiem
Znów idą jak przed laty
ścisniętym szeregiem
I płynie ta, co tutaj kiedyś się zrodziła,
Piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła
(Jan Lechoń:
„Marsz Drugiego Korpusu")

MAMY w pamięci narodowej epopeję Legionów gen. Jana Henryka Dąbrowskiego, których zawiązanie na obczyźnie otwierało szaremu żołnierzowi długą, mozolną, ale przecież nie beznadziejną drogę do Polski. Zawiłość tych historycznych dróg „z ziemi włoskiej do Polski" powtórzyły i pomnożyły w stopniu dotychczas nie spotykanym lata drugiej wojny światowej. Punkt odniesienia, jakim była epopeja Legionów, stanowił dla niejednego żołnierza źródło dodatkowej siły i odporności psychicznej. Inaczej, znacznie pełniej i prawdziwiej brzmiały dlań teraz słowa „Mazurka Dąbrowskiego".

Można uogólnić tę myśl. Pełniejsza w swych pobudkach i proroctwach patriotycznych, poruszająca głębiej — okazała się na obczyźnie ojczysta pieśń żołnierska. Skupiło się w niej nie tylko pragnienie czynu zbrojnego, lecz także całe przywiązanie do narodowości, do ziemi, ludzi, kultury i obyczajów polskich.

Wiosną 1942 r. przystąpiono na Bliskim Wschodzie do reorganizowania Armii Polskiej. Bezpośrednią tego przyczyną była ewakuacja wojsk gen. Andersa z ZSRR. W wydanym 1 października 1942 r. rozkazie gen. Anders informował żołnierzy o utworzeniu nowego związku operacyjnego — Armii Polskiej na Wschodzie, w której skład weszły Armia Polska z ZSRR i Wojsko Polskie Środkowego Wschodu. „Ramzesi" i „lordowie" spotkali się zatem z „buzułukami". Wśród tych ostatnich znalazł się też zespół Teatru Żołnierza Polskiego, któremu dyrektorował Feliks Konarski „Ref-Ren". Dyrektor nie miał biurka ani gabinetu, był natomiast fachowcem w zakresie małych form scenicznych oraz autorem wielu piosenek (m.in. „Polskie serce" i „Droga do Warszawy") śpiewanych nadal przez Zofię Terné, Ninę Oleńską i Renę Bogdańską; czołówkę zespołu stanowili ponadto Lawiński i Borucki oraz kompozytor i pianista Henryk Wars.

Z małej sceny teherańskiej poszła w świat piosenka „Ref-Rena" jednocząca wszystkie myśli i skupiająca wszystkie cele żołnierzy-tułaczy:

Czy wiesz, że dokądś mknie myśl drżąca,
Jest kraj, za którym tęsknisz dziś.
Że tam ktoś pośród gwiazd tysiąca
Może dojrzeć twą ukrytą myśl!
Po mlecznej drodze myśli nasze mkną
I może teraz nad Warszawą są...
I może zatrzymały swój szaleńczy bieg.
I patrzą na piaszczyste Wisły brzeg...
(F. Konarski: „Po mlecznej drodze", strofa 2).

W działaniach na froncie włoskim miał wziąć udział 50-tysięczny Drugi Korpus Polski pod dowództwem gen. Andersa, wydzielony ze składu armii. Kierując swoje zainteresowania ku frontowi włoskiemu, nie wiedzieli zapewne żołnierze (zgrupowani w Iraku), że tam, w wiecznym mieście opanowanym przez faszyzm, udało się kilku patriotom polskim uczcić publicznie rocznicę Konstytucji 3 Maja. Pod pretekstem 400-lecia założenia Kaplicy Rorantystów, zwanej Kaplicą Sykstyńską Polaków, muzykolog i kompozytor Mateusz Gliński zorganizował 3 maja 1943 r. w Pontificio Istituto di Musica Sacra koncert muzyki kościelnej, w którego programie znalazło się wykonanie „Bogurodzicy", a więc pieśni śpiewanej regularnie przez żołnierzy Brygady Karpackiej w dniu poprzedzającym każdą walną bitwę. Dodać warto, że przygotowano na tę okazję bogato zdobiony album (w trzech egzemplarzach!) z godłem papieskim na okładce, zawierający nuty ze słowami polskimi i włoskimi oraz historię pieśni („Inno Sacro Polacco XIII secolo" — trzynastowieczny polski hymn religijny — Roma 1943).

Wkrótce oddziały 2 Korpusu znalazły się w nowym rejonie zgrupowania na terenach Palestyny południowej. Okres szkolenia obfitował tu również w atrakcje kulturalno-oświatowe dzięki stałej obecności Teatru Żołnierza Polskiego oraz łatwemu dostępowi do wydawnictw polskich. Śpiewano kolejny przebój Konarskiego „Droga do Warszawy" (*But ciąży kamieniem na nodze...*). Oddział Kultury i Prasy 2 Korpusu przygotowywał edycje książkowe w kilku seriach: „Mała Biblioteka Polska", „Biblioteka »Orła Białego«", „Przez Lądy i Morza na Wschodzie". Nie były to wyłącznie broszurki, lecz także pokaźnych rozmiarów książki, jak dla przykładu 466-stronicowa antologia poezji i prozy wojennej, opracowana przez Łukasza Kurdybachę, „Naród w walce" (Jerozolima 1943).

Od grudnia 1943 do kwietnia 1944 r. trwał przerzut wojsk 2 Korpusu na Półwysep Apeniński. Uczestniczyły m.in. w tej operacji statki polskie „Batory" i „Pułaski".

• • •

Monte Cassino. Warto zacytować jedno charakterystyczne zdanie z monografii „Walki formacji polskich na Zachodzie 1939—1945" (Warszawa 1981), zdanie, w którym autor, nie będąc przecież poetą, bezwiednie posłużył się metaforą: „Masyw Monte Cassino stanowił klucz do niemieckiej obrony zamykającej kierunek z południa na Rzym". Otóż kto własnymi oczyma oglądał z pasma szosy Neapol — Rzym ukształtowanie wzgórz wokół malowniczej doliny rzeki Liri i przełom drugiej doliny — rzeki Rapido — a u ich zbiegu spiętrzenie masywu Cassino, ten przyznał również historykowi wojskowości prawo do użycia określenia, iż „góra wystaje ze ściany Apeninu i zwisa niby balkon..." Istotnie, natura ukształtowała to miejsce w taki sposób, że zwykłe, bezbarwne zwroty opisu naukowego nikomu tu nie wystarczą.

I druga sprawa. Dlaczego maki? To nie zmyślenie artystyczne ani chwyt poetycki. „Na łąkach — mówi uczestnik bitwy — kwitnie mnóstwo czerwonych kwiatów pokrywających o tej porze roku wszystkie dolinki. Kwiaty podobne do naszych maków i do tulipanów, coś pośredniego. Całe doliny są w czerwieni — jak we krwi" (F. Koprowski: „Bo wolność krzyżami się mierzy... Z dziennika żołnierza drugiej wojny światowej", Kraków 1975, s. 199).

Ów dzień zwycięstwa, 18 maja 1944 r., — kiedy to o godzinie 9 min. 40, po siedmiu dniach walki, patrol 12 pułku Ułanów Podolskich wdarł się do ruin klasztoru, ostatniego bastionu nieprzyjacielskiego, by zatknąć na szczycie biało-czerwony sztandar, a płut. Karol Czech odegrał na gruzach hejnał mariacki — okupiono śmiercią dziewięciuset dwudziestu czterech oficerów i żołnierzy polskich. „Bitwę siedmiu narodów" zakończyli z chwałą Polacy, droga na Rzym była otwarta.

Feliks Konarski napisał nie tylko słowa pieśni zwycięskiej; napisał też — po siedemnastu latach — „Historię »Czerwonych maków«". Kroniką przebiegu bitwy zajęli się specjaliści, kronikę przebiegu procesu pisania pieśni odtworzył sam jej autor. Rzadki to przypadek. Historia powstawania pieśni brzmi chwilami bardziej patetycznie niż sama pieśń. Czy opowieść ta jest prawdziwa? Zastanawiali się nad tym recenzenci i komentatorzy. Se non e vero e ben trovato, albo: wierzy się, w co chce się wierzyć. Nie ma powodów — wydaje mi się — by historia „Czerwonych maków" była kwestionowana. Trzeba zrozumieć szlachetne intencje poety-żołnierza, usilnie zabiegającego o to, by w świadomości słuchaczy i śpiewaków utrwalić przekonanie, iż bitwa o wzgórze Cassino i poetycki proces twórczy rozgrywały się jednocześnie. „Dziś, po latach dopiero — przyznaje w 1961 r. autor «Czerwonych maków» — widzę, że piosenka jakby przewidziała bieg wydarzeń..." (F. Konarski: „Historia »Czerwonych maków«", Londyn 1961, s. 16).

Kryją się za tym prastare ambicje poety-wieszcza, któremu wydawała się oto zbyt płaska możliwość rejestrowania i komentowania wszystkiego, co działo się lub dzieje teraz. Postanowił więc za wszelką cenę wyprzedzić tok zdarzeń, sięgając choćby do gwiazd po zdolności wieszcze. O taki „ton wieszczy", jak pamiętamy, był przez gen. Dąbrowskiego posądzany niegdyś sam Józef Wybicki, autor „Pieśni Legionów Polskich we Włoszech".

Głęboko w cieniu piosenki „wieszczej" Konarskiego pozostaje drugi utwór, słowa i muzyka Stanisława Laudana (a nie „Landaua", jak podają niektóre źródła), tytuł — również „Czerwone maki":

Zahuczały stowieszczo polskie działa,
Błyskawicą zabłysło pasmo gór.
Głuchym rytmem wraz z niebem
ziemia drżała,
Pierwszy pocisk już rozbił wraży mur...

Ta próbka wystarcza, by opowiedzieć się za harmonizującymi z melodią patetycznymi strofami Feliksa Konarskiego.

• • •

Monte Cassino przeszło do historii i do legendy. Stało się symbolem, jak symboliczny był tytuł wydanej w Rzymie (1945) antologii poezji polskiej „Nasze granice w Monte Cassino". Jej redaktor i zarazem współautor, poeta — żołnierz 3 baonu Strzelców Karpackich Jan Bielatowicz, zamknął tym tytułem trylogię poetycką czasu wojny, obejmującą dzieje Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich oraz 3 Korpusu Polskiego. Tom pierwszy stanowiła wydana najwcześniej „Poezja karpacka. Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich" (Jerozolima 1944), tom drugi precyzował miejsce służby żołnierskiej i poetyckiej: „Azja i Afryka. Antologia poezji polskiej na Środkowym Wschodzie" (Palestyna 1944).

Bielatowiczowi, gdy składał ów tom „Nasze granice w Monte Cassino", zależało niewątpliwie na wydobyciu z z faktu zwycięstwa wszelkich paralel historycznych. Nie jest więc rzeczą przypadku, iż klamrę trójdzielnego układu materiału antologii tworzą podtytuły: cz. I „Jeszcze Polska nie umarła", cz. II „Przez Via Appia przeszła piechota" i cz. III „Kiedy my żyjemy". Podtytuły pierwszy i trzeci stanowią bezpośrednie nawiązanie nie do słów „Mazurka Dąbrowskiego" („Jeszcze Polska nie zginęła"), lecz właśnie do wcześniejszej wersji „Pieśni Legionów Polskich we Włoszech" — „Jeszcze Polska nie umarła" — zrodzonej w kwaterze głównej wodza Legionów w Reggio nell'Emilia.

Zamieszczony w tej antologii „Marsz Drugiego Korpusu" Jana Lechonia będzie z koncepcją Bielatowicza harmonizować w sposób szczególny. Lechoń zestawia realia („Przez te same doliny, tymże Tybru brzegiem Znów idą..."), operuje dosłownością porównań, aby wywołać złudzenie kontynuacji tego marszu, który wtedy został rozpoczęty. Poeta całą siłę wyrazu poetyckiego osiąga w ostatnim wierszu, gdy — mając w pamięci bezkompromisowy apel i obietnicę Wybickiego: „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę" — odpowie za tamtych i za swoich: „I przejdą, przejdą Tybr, i Wisłę, i Wartę..."

Bielatowicz natomiast, w odróżnieniu od Lechonia, nostalgicznym lirykiem „Nie szumcie, wierzby, nam" złoży hołd szeregowej pieśni żołnierskiej. W polu skojarzeń jest tu, poza utworem Romana Ślęzaka, także kilka innych: bezimienna „O, mój rozmarynie", Feliksa Gwiżdża „Wojenka" („Wojenko, wojenko, cóżeś ty za pani...") — i przede wszystkim owa, jak powiadał Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" „piosenka stara, wojsku polskiemu tak miła" o żołnierskiej tułaczce.

...Idzie żołnierz, nie borem, nie lasem,
Ale górą, pagórem, wyżyną.
I nie chleba jest głodny, lecz czasem
Gryzie go ból, gdy ojczyznę wspomina...
(J. Bielatowicz: „Nie szumcie, wierzby, nam", strofa 2)

Motyw to nieśmiertelny. Wiersz o „Tułaczej armii" napisał wcześniej Władysław Broniewski, a Julia Czechowiczówna „O żołnierzu tułaczu". Godzi się też przypomnieć, że do słów tej właśnie „piosenki starej" nawiązał wydany w Rzymie w 1945 r. polski śpiewnik żołnierski: „Idzie żołnierz... Zbiór piosenek żołnierskich i ludowych, dawnych i współczesnych. Zebrał i do druku opracował Bronisław Rutkowski. Polska YMCA przy 2 Korpusie".

Rys. Józef Tarłowski

Dokończenie ze str. 1

STACHURA. MARINA VLADY I INNI

poczciwość jak zwierzątą miłość i postanowiłem też na Stachurze zarobić, odrobinę usprawiedliwienia znajdując ponadto w takim wyznaniu poety:

Kochałem jeść — rosół nade wszystko
on był dla mnie zawsze złota myśl jedzenia
mogłem pięć talerzy jak ten głupkowaty

Postanowiłem przecież zarobić w sposób zwyczajny i uczciwy, czerpiąc z pamięci własnej fakty i tylko fakty, a oddalając pokusę ich interpretacji. Mam zresztą do tego prawo jakby naturalne, albowiem:

Urodziłem się w tym samym roku co Edek (tak właśnie doń się zwracaliśmy) i razem też chadzaliśmy do Państwowego Gimnazjum i Liceum im. St. Staszica w Ciechocinku. Stachura uczęszczał jednak do jakiejś tam niższej klasy, więc ledwo go wtedy identyfikowałem, czego wielce dzisiaj żałuję. Bo gdybym tak na przykład siedział z nim w jednej ławce, podrzucając przyszłemu poecie ściągi z polskiego?! Prawdę mówiąc, tylko raz Stachura zainteresował się moją osobą, proponując grę w tzw. pikuty — niestety, na pieniądze, których nie posiadałem. Przypominam tę sprawę z zakłopotaniem, ponieważ wiem, ile trudu kosztowało różnych badaczy ustalenie, że zaradność życiowa Steda spełniała się tylko w grze w pokera i szachy. A tu tymczasem pikuty, czyli próby zręczności z nożem w ręku... Co ciekawsze, do złożenia tej oferty doszło nie w Ciechocinku, lecz na peronie dworca kolejowego w Aleksandrowie Kujawskim — kto wie, może w tym samym miejscu, gdzie przed wielu laty zatrzymał się na chwilę nie byle kto, bo sam margrabia Wielopolski, na zawsze opuszczający Królestwo po powstaniu styczniowym. Ponoć aleksandrowiacy (jak my, ciechociniacy, ich nie cierpieliśmy!) żegnali go pełnym uszanowania milczeniem.

Na marginesie chciałbym odnotować, że kilka lat później sam miałem przyjemność osłupieć w Aleksandrowie (7 km od Ciechocinka), a to na widok innej indywidualności, którą znałem dotąd z działalności literackiej i wspólnego balowania na dancingach wspomnianego uzdrowiska, gdzie z niejakim zapamiętaniem niszczyliśmy sobie zdrowie. Kto by zresztą nie zdrętwiał w rozkosznym zdumieniu na widok Ireneusza Iredyńskiego, żwawo pedałującego na rozklekotanej, przedwojennej „damce", z racji ogumienia zwanej „balonówką"?! Uprzedzając mój komentarz do sytuacji, sygnalizowany chyba złośliwym błyskiem w oku. Ireneo Ironesi (jak na okładce kryminału „Ryba płynie pod prąd") rzucił wyjaśniająco:

— Do ciotki przyjechałem. Odpoczywam sobie...
— Zmęczony?
— Nery wysiadają.

Było to ponad dwadzieścia lat przed śmiercią (1985) dramaturga, prozaika, poety.

Po maturze los zafundował mi praktyczną propedeutykę filozofii życia, więc dopiero w 1956 roku podjąłem studia na UMK w Toruniu, razem z innym ciechociniakiem i młodym poetą, znanym dziś pod nazwiskiem Janusza Żernickiego. Na ćwiczeniach z historii literatury, prowadzonych przez panią Osmólską, siadaliśmy w ostatniej ławce, skąd głosiliśmy szeptem scenicznym, że Mickiewicz był grafomanem. Teza ta, wyrażająca przeświadczenia ówczesnego środowiska młodoartystycznego, pozostawała przecież w sprzeczności z opiniami akademickiego establishmentu, zatem w finale tej demonstracji znalazłem się poza murami uczelni. Nie przykładałem się zresztą do studiów, bardziej ceniąc wykłady Stefana Połoma, słuchacza historii, który będąc synem olsztyńskiego właściciela młyna, miał pieniądze i

upodobanie do wina „Calabrese".

Skąpy nie był, naukę skończył, potem wydał prawie dziesięć zbiorów poezji i prozy. Nad gramatykę opisową przedkładałem też towarzystwo Wojciecha Roszewskiego, który do Torunia przyjechał z Tucholi (patrz wzmianki w tekstach Stachury), by podjąć studia matematyczne, a następnie — filozoficzne. Wysoki, szczupły, o twarzy cherubina, inteligentny nad podziw, ileż ten chłopak wykazał hartu ducha, by zyskać status pełnoprawnego członka toruńskiej bohemy! Wojtkowa inicjacja odbyła się w ostatniej, ciemnej sali słynnej restauracji „Pod Gołąbkiem", przynosząc zdumiewające rezultaty. Wiem, co mówię, jedyny świadek i koncelebrant wydarzenia. Po latach Roszewski osiadł w Warszawie, wydał kilka powieści, tyleż tomików poetyckich, a niedawno — okazałą rzecz publicystyczną „Poza zasięgiem hipnozy", którą można określić jako wnikliwą anatomię wystąpień na Kongresie Kultury z 1981 roku.

Stachura nie studiował na UMK, ale pojawiał się wówczas w Toruniu, kontaktując się z wymienionymi wyżej osobami oraz z Jerzym Leszinem, który robił to, co zwykle: organizował młodych literatów. Początkujący poeta, Edek ustępował przecież — o czym jakby zapomniano — Żernickiemu, który „na poważnie" zadebiutował w 1956 roku, w jednodniówce „Helikon", i w tym względzie wyprzedzając Stachurę. Co tu dużo mówić: Janusz był gwiazdą wstępującej generacji poetów kujawsko-pomorskich, a jego późniejsze wiersze mieszczą się na pewno w kanonie współczesnej literatury polskiej. W posłowiu do wyboru poezji Żernickiego „Wędrowiec w jednym sandale" (1985) Andrzej K. Waśkiewicz stwierdził na wstępie: „Janusz Żernicki jest jednym z najwybitniejszych poetów mojego pokolenia. Poetą wspaniałej i dramatycznej wyobraźni. Jest równocześnie poetą nieobecnym, egzystującym na marginesie literackiej giełdy. Na marginesie sporów zaprzątających uwagę czytelników literackich tygodników".

Nieszczęściem Janusza było to, że nad Warszawę, gdzie okresowo mieszkał współtworząc Orientację „Hybrydy", umiłował nasz Ciechocinek. Pracował tam „w kulturze", organizował festiwale folklorystyczne, pił piwo, pisał, no a teraz, młodszy ode mnie o półtora roku, jest już na rencie. Jak to się stało?

Nie wiem, jak to się stało,
to chyba samo
jakby opadła pod ptakiem gałąź,
a gałęzi nikt nie złamał
tylko przygiął wiatr.

Napisany kilkadziesiąt lat temu, lecz wówczas nie drukowany, ten wiersz przypomniany został przez autora niedawno, w wywiadzie dla „Poezji" (1986/5), która uhonorowała „Wędrowca" swoją nagrodą za rok 1985.

Pozycje Żernickiego i Stachury w okresie ich debiutów nieźle charakteryzuje też przebieg pewnego wieczoru poetyckiego z udziałem Janusza i Edka oraz Stanisława Grochowiaka, którego poznałem w pierwszych tygodniach montowania dwutygodnika „Współczesność" by zostać wpisanym do wielkiej księgi współpracowników pisma, jak czas pokazał — zupełnie bezpotrzebnie. Wieczór ten odbył się bodaj w 1958 roku w klubie księgarzy na warszawskim Starym Mieście. Otóż zgromadzone tam towarzystwo młodoliterackie, krzykliwe i miejscami ostro podgazowane, prawie wyłącznie pastwiło się nad przedstawionymi wierszami Grochowiaka i Żernickiego, nie interesując się Stachurą. Onże wydawał się nam zbyt sentymentalny, uczuciowy, po prostu nie na czasie, który w sferze obyczajowej dobitnie definiował kolega Roman Śliwonik, szczuplaczek, owszem, ale obdarzony piekielnym ciosem z obu rąk, co chętnie demonstrował np. w podziemnej restauracji „Harenda", nie opodal spokojnego monumentu Kopernika. Knajpa i kawiarnia „Harendy", pobliska kawiarenka „U Artystów", a cofając się w stronę Krakowskiego Przedmieścia, dokładnie naprzeciwko wielkiej figury przed kościołem św. Krzyża — ciasne bistro „Pod Chrystusem" to były główne przepompownie kolektora towarzysko-artystycznego młodej Warszawy tamtego czasu. Nieco odmienną funkcję spełniał staromiejski „Largactil" z tańcami, swoją specyfikę miał SPATiF i obie „Kameralne": dancingowa, w której chętnie bawił Marek Hłasko (przechowujący u szatniarza dyżurną marynareczkę), i wyłącznie gastronomiczna, gdzie latami pokrzepiał się Jasio Himilsbach. Nie od rzeczy będzie, jeśli wspomnę, że autor „Monidła" pojawiał się czasami w... Ciechocinku, najchętniej wizytując „Zdrojową" oraz „Kujawiankę" przy dworcu kolejowym, pierwszorzędną niegdyś restaurację z bilardami, jeszcze po drugiej wojnie należącą do mojej babki, której energicznie pomagał ojciec autora tego tekstu. W 1945 roku przybytek ten wręcz rozsadzały pieśni rosyjskie, co zrozumiałe, ale i angielskie, francuskie i bodaj kanadyjskie, śpiewane przez byłych jeńców alianckich, których los rzucił do Ciechocinka.

W tej opowieści zniknął mi gdzieś Stachura, ale jak mogło być inaczej, skoro w omawianym okresie Edek nie wyróżniał się

w batalionach poetów,

acz miał już za sobą debiut literacki (1957). Bardziej chyba cenion, był wśród pokerzystów, oczywiście nie dlatego, że układał wiersze, aczkolwiek i ten fakt wzbudzał pewne emocje u specjalistów od fula z ręki przy nieograniczonym przebiciu w ciemno. Grywał już w różnych miastach Polski, również w Ciechocinku, dokąd po Październiku licznie zjeżdżali prywaciarze. Kontaktowaliśmy się wszak przelotnie, albowiem ja gustowałem w czymś innym, a jeśli rżnąłem w karty, to rzadko i raczej w brydża, owszem, też na pieniądze, ale malutkie. Boże mój, jakie to były czasy! A co z nich zostało?! Może tylko nazwa „Korea", jaka jeszcze w latach wiadomej wojny przylgnęła na stałe do bocznej sali restauracji „Zdrojowa" (dla nas ciągle była to „Europa"), w której do tańca przygrywały zespoły: Karasińskiego, Skowrońskiego i Górkiewicza, Bovery'ego, śpiewała zaś autentyczna Mulatka, madame Elizabeth Charles, czyli pani Elżbieta Karol.

Jakoś nie przypominam sobie, by Stachura hulał pośród kurującej się na parkiecie szarańczy. Biografistom poety mogę wszak podrzucić fakt częściowo pozytywny: Edek wdał się w przelotny romans z tamtejszą damą, ekonomicznie usytuowaną w sferach prywatnej inicjatywy. Trwało to krótko, bo ona była rzeczowa, a on pisał wiersze. Ot, jeszcze jeden powód do postawienia Stachury obok Mickiewicza.

Z tej naszej luźnej znajomości wyniknęło jednak coś bardzo dla mnie ważnego, można nawet powiedzieć, że Edek okazał się zwrotniczym mojego losu, niczego w zamian, poza wdzięcznością, nie otrzymując. Otóż w lipcu 1959 roku padłem ofiarą fatalnego nieporozumienia — po tylu latach można mi chyba wierzyć — które zamknęło przede mną bramy Uniwersytetu Warszawskiego. Było to tym bardziej bolesne, że zadomowiłem się już w stolicy, choć mieszkało mi się tam różnie, np. w magazynie chemii organicznej na Politechnice, dokąd wieczornym cichcem wpuszczał mnie, a następnie zamykał na klucz, do rana, pracownik techniczny tej uczelni, znakomity kolega i biesiadnik nieustępliwy, Cezary Woźniak z Radości. Okresowo dał mi schronienie Jorge Ruiz, syn emigrantki politycznej z dalekiego Zachodu, nocowałem też w różnych domach studenckich, m.in. dzięki pomocy rodaka z Ciechocinka, Bartka Przybylskiego, późniejszego architekta...

Przy jakiejś okazji podzieliłem się swoim nieszczęściem ze Stachurą, który studiował już romanistykę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Edek spokojnie wysłuchał lamentu, powiedział, że jestem głupi, i poradził, bym posłał „papiery" na KUL, który przygarnia takich pechowców, poza metryką chrztu nie wymagając od słuchaczy jakiejś specjalnej deklaracji światopoglądowej czy choćby uczestnictwa w wiadomym rytuale. Mówił, że jest tam nawet wesoło, a samo miasto, choć zapyziałe, też pożyć pozwala. Uradowały mnie te informacje, i zdumiały, bo nigdy dotąd nie słyszałem o KUL-u. No i tak, za sprawą Stachury (i pana Zająca z dziekanatu Wydziału Nauk Humanistycznych wspomnianej uczelni), znalazłem się w Lublinie.

Kiedy jednak wysiadłem z trolejbusu na placu Litewskim i rozejrzałem się wokół, wpadłem w panikę i postanowiłem uciekać stąd natychmiast! Aż tu nagle ktoś zawołał do mnie po imieniu — to Edek, który zupełnie przypadkowo pojawił się w tym miejscu! Fatum, przeznaczenie, prawidłowość wynikająca z teorii gier?!

Zamieszkałem w domu akademickim przy ul. Sławińskiego, początkowo w „kołchozowym" pokoju nr 16, razem ze Stachurą, który zwał się już Stedem. Co tam się działo, zamilczę, bo tych kilkunastu pensjonariuszy „szesnastki" stanowiło prawdziwą menażerię, a do tego złożoną z niezwykle różnorodnych okazów. Byli tam znerwicowani ekskleryci, którzy na ogół studiowali psychologię (!), ateiści, wychodźcy ze wsi i małych miasteczek, warszawiacy, spokojni i cholerycy, abstynenci i gorzelnicy. Ważniejsze, że miałem okazję dokładniej poznać Stachurę.

Edward Stachura (z prawej) i autor artykułu na pl. Litewskim w styczniu 1960 roku.

Na pierwszy rzut oka widać było, że ten dobrze zbudowany, kędzierzawy, lekko zacinający się w mowie mężczyzna wielce rozmiłowany jest w sobie samym. Jak poszedł do łazienki na poranną toaletę, to siedział tam godzinę : dłużej, mimo zimnej wody w kranach i w ogóle raczej saperskiego wyposażenia tego przybytku. Mimo kiepskiego zarostu, zresztą w kolorze blond, golił się dokładnie, potem kropił twarz niezłą wodą kolońską (?), namaszczał kremami i oglądał, przeglądał się w lustrze niczym panna na wydaniu. Sprawdzał też stan swojego ciała, bicepsów w szczególności, a już najwięcej bodaj uwagi poświęcał fryzurze. Owszem, włosy miał ładne, przypominające loki posągów hellenistycznych, ale niezbyt mocne, rzednące w partiach czołowych, co bardzo go martwiło. Nieco później (1962) wyzna zresztą w „Jednym dniu": „jak ja bym mógł kochać siebie zgarbionego, łysego, o mięśniach jak nici lub masło, nie mógłbym niczego przeskoczyć, chodzić po drzewach bym nie mógł, pływać zupełnie, tańczyć wcale i śpiewać, żadne wędrowanie najulubieńsze, to jak ja bym siebie kochać potrafił, takiego kraba?".

W 1959 roku bronił się jednak przed zarzutem narcyzmu, wyjaśniając sprawę zwyczajniej, poczuciem estetyki.

Zakochany we własnym ciele, wielce też cenił ducha swego i talent swój, który widział ogromny. Głęboko wierzył i nie ukrywał tego, że kiedyś, w niedalekiej przyszłości,

na pewno otrzyma nagrodę Nobla.

Równocześnie, pragnąc zapewne podkolorować wizerunek publiczny „niezwykłego Steda", oryginal-

nej osobowości wadzącej się z dokolnym światem banału i świńskich zagrywek, chętnie opowiadał o własnych przygodach: realnych, ale i wymyślonych. Robił to tak sugestywnie, posługując się konkretem przedmiotowym, sytuacyjnym i leksykalnym, że nawet ja, weryfikator skwapliwy, uwierzyłem w jego spotkanie z Mariną Vlady, do którego miało dojść w Osiedlu Mickiewicza Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Otóż, wskoczywszy w krzaki pod oknem jakiegoś bloku, by posiusiać sobie, usłyszał ponoć mowę francuską, dobiegającą z mieszkania na parterze. Wspiął się zatem, rzucił okiem przez szybę i wszystkiego mu się odechciało z wrażenia: przy stole siedziała wspomniana aktorka, gawędząc z Janem Machulskim i jego żoną! Ujrzawszy młodego mężczyznę w oknie — prawił Sted — madame kiwnęła nań paluszkiem, zachęcając do wejścia, co też poeta uczynił, przedstawiając się towarzystwu. A dalej to miał być sam miód, czyli błyskotliwa konwersacja w języku francuskim, którym wszak biegle władał nasz bohater. Okazało się, że wracając z festiwalu filmowego w Moskwie do ojczyzny, Marina Vlady uległa namowom Machulskiego i zawadziła o Lublin. Z opowieści Steda wynikało ponadto, że aktorka z miejsca poczuła do niego sympatię, wypijając brudzia z Polakiem w sposób zapierający dech w piersiach, a do tego winem francuskim! W tym miejscu, by uwierzytelnić swoją opowieść, Stachura chuchnął mi w twarz niczym smok białowieski — faktycznie, zaleciało winem (ale gorzała i piwem także)!

Prawda to, półprawda czy mistyfikacja — nieważne, jako że u Stachury „wszystko jest poezja" albo „życiopisanie". (Przy okazji: podobna idea zyskała znaczną popularność w innych rejonach twórczości artystycznej, pojawiając się około 1970 roku, a nawet wcześniej, pod hasłem „wszystko jest sztuką, każdy może być artystą".)

Motyw damski, wbrew rozpowszechnianym tu i ówdzie opiniom, odgrywał pewną rolę w życiu Steda, który — jak oznajmił mi kiedyś — z niechęcią odnosił się tylko do... dziewic! Dlaczego, nie mam pojęcia. Inna sprawa, że bardziej miłował poezję. Odprowadzając swoją partnerkę z balu na Poczekajkę, leżącą wtedy kawał drogi za miastem i znaną głównie ze znajdujących się tam żeńskich akademików KUL-u, w połowie trasy, na pustkowiu, zatrzymał się nagle i pospiesznie pożegnał dziewczynę — z powodu wiersza, który zarysował mu się w głowie i wymagał utrwalenia w piśmie.. A dziewczyna była atrakcyjna, o włosach pszenicznych do bioder zaokrąglonych rozkosznie, a autobusy linii nr 6 (nie 5, jak gdzieś odnotowano) drzemały jeszcze w zajezdniach...

Pisał zaś Sted wszędzie, gdzie było to możliwe. W domu studenckim przy ul. Sławińskiego 8 często robił to we wspomnianej łazience, jedynym miejscu, które gwarantowało spokojną samotność. Takie seanse poetyckie rozpoczynał bardzo późno, może po godzinie 23, może o północy, kiedy studenteria zapadała w sen. Pisał, palił papierosy, orzeźwiał się wodą z kranu, wzmacniał herbatą — do świtu. Był bardzo pracowity — i niech to sobie młodzież zapamięta.

Przy pokerze także się nie lenił, walił w karcięta i po dwie doby, licząc od pierwszej rundki, a nie licząc krótkich przerw na posiłki i zaciągnięcie się świeżym powietrzem. Nie będąc zbyt sprawnym w tej grze podniecającej, cierpiąc na chroniczny brak waluty, raczej nie zasiadałem do stołu w poważnym towarzystwie, na przykład pana Henryka, Juniora czy właśnie Steda, ale czasami asystowałem zapaśnikom, aż mi oczy wyłaziły z orbit na widok niedostępnego dla mnie bogactwa, którego kupa rosła na blacie jeszcze przed rozdaniem kart — no bo gdy panowie kilkakroć dali w ciemno, to jak miało być?! Zapamiętałem taki jeden młyn w hotelu „Lublinianka": obserwowałem grę, po kilku godzinach zasypiałem, znów się budziłem, ponownie chrapałem — kołysany litanią: „damy na waletach, dęby, amerykan, ful na asach, 6 stycznia (inaczej trzy króle), osiem cyców (kareta dam)" a oni grali, grali, grali, aż Jurek R. padł głową na stół z powodu serca słabości, której ponoć nabawił się w seminarium duchownym.

Pokerowe ćwiczenia odbywały się ponadto w akademiku przy Sławińskiego i w tzw. świetliczce (ZSP?), znajdującej się w drewnianym baraku, stojącym w obrębie KUL-u, od strony dzisiejszego hotelu „Unia". W ogóle wesoły to był lokal: tańczono tam, grano w ping-ponga, obłapywano po kątach i dyskretnie zwilżano podniebienia, Sted gościł i tutaj.

A jak nie miał pieniędzy na kolejną rundkę, gromadził kapitał drogą pożyczek, nie gardząc i zegarkami. Kiedy jedna ze studentek odmówiła mu tego wsparcia, usprawiedliwiając się pamiątkowym znaczeniem swojego czasomierza marki „Zaria", Sted obraził się na nią śmiertelnie. „Uważał, że jako człowiek wyjątkowy zrobił mi łaskę tą prośbą" — skomentowała dama po latach.

Po osiedleniu się Stachury w Warszawie, gdzie w przyszłości miał dostać mieszkanie z puli premiera Cyrankiewicza, widywałem poetę rzadko: czasami w Ciechocinku, to znów w Toruniu, w okresie tamtejszej „wiosny poetyckiej". Witaliśmy się jak starzy znajomi, i to wszystko — cześć, czołem, pozdrów tego i owego. W bliższych kontaktach pozostawałem wtedy z Ryszardem Milczewskim, Brunonem, który był wspaniałym poetą, o niebywale rozwiniętym instynkcie językowym, nie mówiąc już o innych jego talentach, które po raz pierwszy zademonstrował mi w pewnym lokalu bydgoskim. Pisywaliśmy do siebie, zachęcałem go do drukowania w „Kamenie"...

Sted nie żyje. Bruno nie żyje.

Zapamiętałem ich przecież — jako ludzi rozmiłowanych w życiu.

Ireneusz J. Kamiński

Wiersze Marka Danielkiewicza

Być najczulszym mężczyzną
wiązać koniec z końcem
absolutnie nie mieszać się do polityki
pić tylko w towarzystwie bezalkoholowym
i zawsze bez umiaru pocieszać się życiem

Mieć złudzenia
i kochać gdy wszystko stracone
w swoje wierzyć
o swoje walczyć do ostatka
liczyć gwiazdy gdy niebo
nie tonie w sputnikach
a kawior sobie wymarzyć
— jeść chleb z salcesonem

Do polityki się nie wtrącam
i tak w ogóle mam jej dosyć
czasami jednak palnę wierszyk
bo coś mnie korci

Nie lubię kobiet na trybunach
mówią piskliwie ciągle łkają
one też pragną na ambonach
ale bez walki nie dostaną

Nie dbaj o to, co mówią ludzie,
Idź do przodu, odważnie ruszaj!
Nikt nie stoi dzisiaj na drodze.
Nie dostrzegą w tobie „geniusza".

Nie pij wódki w miejscach publicznych,
Niech nie widzą twojego cierpienia.
Nie obgryzaj zbytecznych paznokci,
Mogą jeszcze przydać się nieraz?

I w ogóle nie bądź ciemniakiem.
Walcz o prawa, szczególnie dla siebie,
i na tace rzuć, gdy ci zbywa —
musisz dbać o pozycję w niebie.

Regularnie odwiedzaj redakcje
i daj przykład wszystkim miernotom,
no bo przecież nie chodzi o wiersze —
ale o to, by czuć się poetą.

Januszowi Olczakowi

Słabość do słów
budowanie z nich domów
zbijanie z desek stołów
i rozczynianie ciasta
zaufanie do ludzi —
ten naiwny dar poety
który nie umie maszerować w nogę i
pozostawia samemu sobie
wybór

PO CZTERDZIESTU LATACH

W małych miasteczkach
gołębie śpią na wyblakłych dachówkach

Kwitną corocznie pelargonie —
długą mają pamięć

Odchodzą mężczyźni
kołysani na barkach żyjących

Ich partyzanckie wspomnienia
kryją gałązki świerku

CYRK

Jakie to śmieszne — patrzcie ludzie,
do Lubartowa cyrk przyjechał.
Słoń się postarzał — jednak może
podrzucać kule jak atleta.

Jakie to śmieszne, nadzwyczajne —
na linie tańczą dwie kobiety.
Koń galopuje po arenie,
a lew znudzony straszy dzieci.

Kochani — lody są w bufecie,
kobiety piszczą torebkami,
a na afiszu trzy lamparty,
lecz — oczywiście — za kratkami.

Jakie to śmieszne — Cyrk przyjechał.
Prawdziwe święto i okazja.
Przy wejściu wisi wielkie lustro.
Każdy zobaczy wreszcie błazna.

Rys. Zygmunt Pytlik

ONA

Pokój pomieścił siedem osób. Liczba
była magiczna. Na stole stało siedem
szklanek. Wietnamka wyszła do łazienki:
inna skóra, inna twarz... W Lyonie
pozostał jej mąż i synek. Robiła mi masaż
głowy. Kochała Buddę. Nie znała wszystkich
bogów. Usiadła na czerwonym kocu
i podkuliła nogi.

ON

Przykucnął. Kaszlał. Nie chciał aspiryny.
Mówił powoli inteligencką francuszczyzną.
Na imię miał Ivo. Można było się w Nim
zakochać. Oglądając obrazy mówił
o podobieństwie do DE STAËLA...

Telefon zaufania dla niepełnosprawnych

ZNALEŹĆ ZROZUMIENIE

Henryk Więcławski

NARZEKANIA na marazm i społeczną niechęć do działania zalewają kraj. Temat pojawia się na łamach prasy i w prywatnych rozmowach, jakby od tego mówienia miał narodzić się nagły entuzjazm. Zarzucamy sobie nawzajem wyizolowanie, tłumienie energii. Tak dzieje się w świecie ludzi, których los pozostawił w zdrowiu i pełnej fizycznej sprawności. Jest wszakże i inny świat — świat ułomności i choroby, kalectwa i obiektywnej niemożności. W tym świecie — według obiegowej opinii — działanie powinno być zredukowane do minimum, żal do losu rodzić nienawiść, a ułomność — apatię. W tym świecie ludzie powinni pozostać na zawsze pensjonariuszami społeczeństwa. Mieliby do tego pełne prawo. Tylko, że wtedy ich życie byłoby klęską. I może dlatego w tym „innym" świecie rodzą się pasje i chęci działania, które potrafią zadziwić nas — ludzi zdrowych.

* * *

Jan Arczewski przywędrował do Lublina z Podlasia, z małej wioski Łysów, z wielodzietnej chłopskiej rodziny. Ale nie tylko warunki domowe uczuliły go na ludzką krzywdę. Przede wszystkim uczyniło to kalectwo, które od ponad dwudziestu lat i chyba na zawsze przykuło go do inwalidzkiego wózka. Byłoby tu miejsce na stłumienie ambicji, na załamanie rąk, na usprawiedliwione poczucie klęski. Z tym Jan Arczewski nie chciał się jednak pogodzić. Szkołę podstawową ukończył wraz z innymi zdrowymi dziećmi. Te dwa kilometry, dzielące jego dom od powszechnej wieloizy, przebywał z pomocą rodziców, starszego rodzeństwa, potem kolegów i koleżanek. Po ukończeniu „podstawówki" trafił do sanatoryjnej szkoły zawodowej, ze specjalnością introligator. Jak sam teraz przyznaje, był to błąd; szanse pracy w swoim zawodzie miałby niewielkie. Dobrze się więc stało, że namówiono go na równoczesną naukę w ówczesnym liceum. Kończąc zawodówkę, miał już zaliczone dwie klasy gimnazjum. Do trzeciej poszedł do Zakopanego. Tam właśnie zdał maturę.

I to był już sukces, sukces, który mógł dawać poczucie spełnienia i dyplom wartości. Sukces ten nie mógł jednak, jak widać, stać się kresem naturalnej ambicji.

Przyjęciu na studia towarzyszyła najpierw ożywiona korespondencja z kilkoma uniwersytetami. Podstawowym problemem była sprawa opieki. W kilku wypadkach odpowiedź brzmiała negatywnie. Katolicki Uniwersytet Lubelski miał odpowiednie warunki i tam zdał pan Jan egzamin wstępny na psychologię. (Pierwotnie marzył o studiowaniu biologii.) Już po przyjęciu na uczelnię nastał dla Arczewskiego niespodziewanie czas frustracji. Przez kilka miesięcy ZOZ w Siedlcach nie chciał się zgodzić na wymianę pacjentów w Domu Opieki między Lublinem a Siedlcami, co było warunkiem zamieszkania przez pana Janka w Lublinie. Rok akademicki się zaczął, a koledzy z roku, wiedząc, że przyjdzie taki student, odwiedzali regularnie dom przy ulicy Głowackiego, pytając czy już przybył. W październiku rozwiązano wreszcie ten skomplikowany, proceduralny dylemat. Rozpoczęły się studia.

Okres studiów to dla Arczewskiego czas życzliwości i przyjaźni, ale też... zdwojonych wymagań ze strony wykładowców (że niby przebywając ciągle w domu, ma więcej czasu na naukę). Studia kończy z wynikiem dobrym i zaczyna kolejny etap zmagania się z życiem. Praca. „Jest ona częstokroć o wiele ważniejsza dla ludzi niepełnosprawnych niż dla ludzi zdrowych" — mówi.

Jego batalia o zatrudnienie trwała dwa lata. Nie pozbawiona była gorzkich doświadczeń i przykładów ludzkiej niechęci. Listowne monity do różnych instytucji znalazły swój epilog w Ministerstwie Zdrowia i Opieki Społecznej. Wówczas zrodził się pomysł telefonu zaufania dla niepełnosprawnych. (Arczewski zdążył już zgromadzić potężny bank informacji dotyczący spraw ludzi niepełnosprawnych.) To byłoby novum, coś jedynego i coś potrzebnego. W to nikt nie wątpił. Lekarz wojewódzki poparł tę szansę i kwestia do rozwiązania pozostał tylko odpowiedni lokal. Znaleziono go w Domu Rencisty na Kalinowszczyźnie. Zbudowano specjalne przyłącze i w maju ubiegłego roku telefon, jako jedyny w kraju, rozpoczął swą działalność. Odtąd we wszystkie dni powszednie od 9.00 do 16.00 pod numerem 77-98-21 ludzie niepełnosprawni z całego kraju mogą uzyskać poradę, informację i wsparcie.

— Czy taki telefon spełnia swe zadanie?

— Jestem pewien, że tak. Zapotrzebowanie na tę placówkę istniało już od dawna. Wciąż zwiększa się liczba potrzebujących pomocy. Dzwonią ludzie zdrowi i niepełnosprawni. Niejednokrotnie dla tych drugich jest to jedyna szansa uzyskania szybkiej i skutecznej porady. Bywa, że potrafię odbyć i czternaście rozmów dziennie. Liczba telefonujących zwiększyła się znacznie po emisji telewizyjnego programu „Bariery", gdzie mówiono o moim telefonie. Przy odpowiedniej reklamie coraz więcej potrzebujących znalazłoby swą drogę do mnie. To duża sprawa. Wiem ponadto, że w tym działaniu realizuję siebie.

— A jednak miejska informacja telefoniczna nie zna tego numeru.

— To już sprawa Urzędu Telekomunikacji. To on zgłasza takie numery do centrali. Była jednak reklama prasowa, radiowa, no i telewizyjna.

— Z jakimi problemami ludzie dzwonią najczęściej?

— Są to sprawy przeróżne. Od prostej informacji, adresu jakiejś instytucji, poprzez interwencje (np. ciągnąca się od roku sprawa podjazdu do mieszkania), aż po problemy natury psychologicznej, wymagające wiedzy fachowej i szczególnego podejścia. Każda rozmowa jest dla mnie jednakowo ważna, gdyż oznacza próbę niesienia pomocy.

— Jak ocenia pan sytuację ludzi niepełnosprawnych w Polsce?

— Sądzę, że problem ten ma dwa oblicza. Pierwsze to instytucje; drugie zaś to ludzie. Mamy w naszym kraju wiele placówek zajmujących się profesjonalnie tym zagadnieniem. Oczywiście, przydałoby się ich jeszcze więcej. Pod tym względem sytuacja nie jest jednak generalnie zła. Gorzej bywa z ludźmi, z ich uczuleniem na krzywdę, ich chęcią niesienia pomocy komuś dotkniętemu przez los. Nie będzie chyba przesadą, jeśli powiem, że ostatnio sytuacja się pogorszyła; szerzy się w naszym życiu jakaś znieczulica, zamknięcie się w świecie własnym i świecie rodziny. Jest w tym także pewien paradoks — mnogość powstających instytucji jakby zdejmowała moralny obowiązek z jednostek. Ludzią mówią: „Są od tego fachowcy i za to im płacą". Zanika pomoc sąsiedzka. A żadna placówka nie zastąpi przecież spontaniczności ludzkiego działania. Ciągle więc jest jeszcze dużo do zrobienia. Choćby owe, wspomniane już, podjazdy do nowych bloków, większa liczba wydawnictw — poradników dla ludzi niepełnosprawnych, większe zainteresowanie mass mediów ich problemami, nawet większa liczba filmów w telewizji dla niesłyszących i plansze z programami bądź informacjami, które nie wiem dlaczego ostatnio zarzucono. A sklepy, placówki kultury, kluby — czy robimy już naprawdę wszystko, by ułatwić korzystanie z życia ludziom dotkniętym przez los?

— Do kogo telefon zaufania nie potrafi dotrzeć?

— To nie kwestia chęci, lecz obiektywnych możliwości. Trapi mnie problem ludzi głuchych. Tutaj możliwym współdziałaniem jest jedynie korespondencja. Moim cichym marzeniem jest, by takie telefony, a nawet centra informacyjne, powstały w każdym większym mieście Polski. Jest jednak trochę ludzi chętnych służyć pomocą. Trzeba by skorzystać z ich wiedzy i dobrej woli. Wierzę, że rosnąca popularność naszego telefonu będzie takim „zaczynem".

— Nie może pan poświęcać życia tylko na pracę zawodową...

— Pracuję aktualnie nad przewodem doktorskim. Dużo czytam; przeważnie literaturę fachową, specjalistyczną. Lubię także dobre powieści. Ostatnio przeczytałem na przykład „Historię Katedry N.M.P. w Paryżu" Wiktora Hugo (to przecież także pewien aspekt życia ludzi niepełnosprawnych z odległej epoki) i „Króla szczurów" Claudela. Poza tym jest telewizja i radio, no i rozmowy. Dzień bez czyjejś wizyty uważam za stracony. Lubię kontakt z ludźmi. Odwiedzają mnie koledzy ze studiów, przyjaciele, znajomi.

— Jak widzi pan świat?

— Dzielę go oczywiście na dwie kategorie: świat ludzi zdrowych i ten — niepełnosprawnych. W moim przypadku to naturalne. Poza tym widzę go chyba tak jak wszyscy. Bez działania byłby smutny, a życie zmieniłoby się w wegetację.

— Dziękuję bardzo za rozmowę.

900 zgłoś się!

Dokończenie ze str. 3

U nas absolutnie nie powinny istnieć puste stanowiska. Ten brak ciągnie się już przez całą zmianę. To ciężki kawałek chleba i często niewdzięczny. Nasza centrala nie jest już także pierwszej młodości. Ma to niemały wpływ na jakość połączeń. Wzniesiono ją w 1953 roku. Poważnym odciążeniem było oddanie do użytku centrali automatycznej. Automatyzacja wypiera powoli człowieka i w naszej branży.

Nadejdzie więc zapewne czas, kiedy panienki z międzymiastowej odejdą w przeszłość, jak tyle innych spraw. Czy wtedy będzie nam lżej?

— A połączenia międzynarodowe?

— Realizujemy ich średnio ponad sto na dobę. Głównie do Europy Zachodniej, no i USA. Te połączenia dokonywane są w ruchu półautomatycznym.

— Czy telefonistki znają języki obce?

— Przy takiej liczbie rozmów nie jest to konieczne (?!). Z reguły za granicą zgłaszają się Polacy. Wtedy nie ma problemu. Jeśli trafi się na cudzoziemca, dziewczęta potrafią porozumieć się w podstawowym zakresie. Większość połączeń międzynarodowych odbywa się już w ruchu automatycznym. Lublin ma takie połączenia z czternastoma państwami. Rocznie rozmowy międzynarodowe przynoszą nam około czterdziestu dwóch milionów złotych zysku.

— Czy były przypadki ostrych sankcji dyscyplinarnych wobec zatrudnionych? — wracam z uporem do tematu zleconego mi przez mandat społeczny.

Urszula Ziółkowska:

— Niewiele, ale tak. Wie pan już o naszym stanowisku obserwacji pracy. Niezwykle trudno być u nas złym pracownikiem.

Z owych czternastu tysięcy operacji w ciągu doby, cztery tysiące to rozmowy popołudniowe, „nasze", abonentów prywatnych. Od 16.00 opłata ulega zmniejszeniu. W okresie letnim dzwonimy najczęściej między 20.00 a 24.00. Znajdując się cały czas w tym zakładowym „młynie", gdzie przerwa na plotki, papierosa i kawę jest w istocie niemożliwa, jak sobie radzą z odpoczynkiem panienki z międzymiastowej?

— Jest półgodzinna przerwa na śniadanie, w trybie rotacyjnym.

Znajduje się w budynku „stołówka". Dwa długie stoły nakryte ceratą, w kącie jakaś szafka i kocioł z gorącą wodą. Z tym prymitywnym wystrojem obiektów socjalnych nigdy nie mogę się pogodzić. Na korytarzu okopcona popielniczka i trzy dziewczyny zaciągające się pospiesznie dymem i szepcące jakieś własne sekrety. Na głównej hali, obok długich rzędów „roboczych" stołów, ciągnie się pośrodku także rząd biurek do pracy „papierkowej". Na przykład — taryfikacja. To tutaj sporządzane są owe rachunki budzące tyle kontrowersji.

— Czasami zdarza się — usłyszę — że młoda, niedoświadczona pracownica przełoży w pośpiechu jedną cyferkę. Wtedy zdezorientowany abonent, nim wyjaśni, że to nie on zamawiał Paryż, otrzyma połączenie i już zainkasuje kilkaset złotych należności. Odwołania od takich „rozmów" są z reguły załatwiane pozytywnie.

No i mamy część prawdy.

Owa opisywana przez panią Kuncewiczową centrala na Nowogrodzkiej była także swego rodzaju specjalną „kawiarnią" Warszawy. Duża część panienek, tych o ciepłym głosie, za pośrednictwem wynalazku Bella znajdowała sobie mężów. Nawiązywano znajomości, rozmawiano regularnie, budowano marzenia na wibracji dźwięków, tak często złudnej i pełnej rozczarowań. Życie toczyło się wtedy wolniej i był czas na wszystko. Dzisiaj takie romanse zdarzają się rzadko. Jest jednak nadal coś z niezwykłej magii tego dopasowywania osoby do brzmienia jej głosu; tego wznoszenia postaci z tak kruchego budulca. Jest coś w ogóle z magii w tym wynalazku.

Na parterze zdobiły ściany dwa zapomniane plakaty reklamujące X Zjazd PZPR.

* * *

Oczywiście, lubelskie telefony, to nie tylko panienki z międzymiastowej i nie tylko rachunki bilansujące rozmiar naszych skłonności do werbalnych wynurzeń. To choćby rozmównice publiczne, dewastowane planowo i z zaciekłością godną lepszej sprawy. (Od stycznia do października 1986 roku straty z powodu kradzieży i dewastacji urządzeń sięgnęły kwoty 1.549.036 złotych! Był nawet wypadek kradzieży całej kabiny ściennej wraz z wyposażeniem. Zajmujemy w tym bilansie „zaszczytne" miejsce w Europie.) Telefony, to także linie napowietrzne, uszkadzane przez zmienność warunków w atmosferze. To wreszcie przydział telefonów i telefonizacja nowych bloków mieszkalnych. To programowanie i możliwości inwestycyjne, rozmach w widzeniu przyszłości i ogólnogospodarcze hamulce, od których i ta sfera działania nie może się przecież uwolnić.

W całym tym rozciągnięciu nad światem poplątanej i kruchej sieci łączącej ludzkie głosy i ludzkie uczucia w tak odległych nieraz miejscach, w całym tym rozbuchaniu nowoczesnej techniki, w całej tej postępującej dehumanizacji ludzkiego zbliżenia, takie ręczne centrale, jak opisana powyżej, stanowią jakby znak uchodzącego czasu, kolejny relikt. Mają coś z uroku zaścianka. Nim roboty i komputery zaczną realizować nasze pragnienia, podawać obiady i wypłacać pobory, nim odbiorą nam kolejne możliwości bezpośredniego kontaktu z drugim człowiekiem, przydałby się po obu stronach telefonicznego kabla odruch wzajemnej życzliwości, a może i szczypta melancholii.

Wiesław Horabik

PS. Chciałbym podziękować rzecznikowi prasowemu Dyrekcji Okręgowej Poczt i Telekomunikacji, p. Andrzejowi Panasiukowi za pomoc w przygotowaniu tego reportażu.

W. H.

Miasto Łódź ma Rubinsteinów

Dokończenie ze str. 1

— Właściwie było i trudno, i łatwo. Miałam przykład z domu. Mego ojca traktowano w nim jak Boga. Więc, kiedy wyszłam za Artura, to naturalną koleją rzeczy traktowałam go tak samo. Może nawet trochę za bardzo o sobie zapomniałam. Byłam kiedyś tancerką, dawałam nawet recitale. On, co prawda, uważał, że powinnam wykonywać swój fach, ale stało się to niemożliwe przy czworgu dzieciach... Ja chciałam przede wszystkim stworzyć mu prawdziwy dom, którego właściwie nie miał. Jako ośmioletni chłopiec został wysłany do Berlina. Sam się kształcił, sam się uczył życia. Ciepła atmosfera, jak się później okazało, była mu szalenie potrzebna — wspomina pani Nela.

Dlaczego „Nela". Na Zachodzie łatwiej było posługiwać się tym skrótem. Tak też nazywali ją domownicy. Nelą jest również dla przyjaciół. Ma ich wielu w Łodzi, mieście, w którym urodził się i spędził lata dzieciństwa jej mąż.

„Łódź to najbardziej kiedyś niezdrowe i niehigieniczne miasto, jakie tylko można sobie wyobrazić: nie było parków ani skwerów, alei ani miejsc zabaw dla dzieci. Powietrze zatruwały wyziewy z fabryk chemicznych, a unoszący się z kominów gęsty, czarny dym przesłaniał niebo, toteż nasz codzienny spacer z punktu widzenia zdrowia miał charakter czysto symboliczny. W nocy było jeszcze gorzej. Z braku nowoczesnego systemu kanalizacji, nieczystości wywożono z miasta w niewielkich żelaznych pojemnikach ciągnionych przez konie, co wypełniało ulice nieznośnym fetorem. Ale Noemi [kuzynka Rubinsteina — przyp. I.F.] i ja zupełnie innym okiem patrzyliśmy na wszystkie te niedostatki: kochaliśmy Łódź! Wydawało się nam, że fabryki to zamki ze wspaniałymi wieżami, carscy stójkowi to potwory, a przechodnie na ulicach — to poprzebierani książęta i księżniczki" — pisał we wspomnieniach Rubinstein.

Później, podczas każdego powrotu do rodzinnego miasta, artysta obdarzał je coraz łaskawszym spojrzeniem. I Łódź nabierała blasku, uroku, szlachetniała. A zresztą są w niej miejsca prześliczne, budowle mogące równać się z najpiękniejszymi perłami architektonicznymi Europy. Na przykład dawny pałac Izraela Poznańskiego, żydowskiego przemysłowca, w którym mieści się obecnie Muzeum Historii miasta.

Przed niespełna trzema laty, w 1984 roku otworzono tu pierwszą na świecie ekspozycję im. A. Rubinsteina. Jej historia zaczęła się jeszcze za życia artysty. Niestety, był już chory. Istniejący przy muzeum dział kultury muzycznej wysłał pod paryskim adresem list z prośbą o jakiś autograf bądź zdjęcie do zbioru. Na ten i następny list nie było odpowiedzi. Tymczasem pianista zmarł. I wtedy dopiero doszło do pierwszego wyjazdu pracowników muzeum do Francji. Chcieli tylko wypożyczyć kilka pamiątek dla zorganizowania wystawy biograficznej. Jakież było ich zdumienie, kiedy dowiedzieli się, że aż dwa tysiące eksponatów znajdzie się w Łodzi na zawsze, jako dar pani Rubinsteinowej. Z powodu dużego pośpiechu wybierał je osobisty sekretarz i jednocześnie kuzyn Neli — Artur Gromadzki. Tak że dopiero będąc w Łodzi zobaczyła, co dała. I to nie całkiem, bo do ekspozycji wybrano wówczas tylko około 500 darów.

O pamiątki po Arturze Rubinsteinie ubiegało się kilka krajów: Stany Zjednoczone, gdzie długo mieszkał i gdzie urodziła się dwójka jego dzieci; Izrael, w którym od wielu już lat odbywają się konkursy jego imienia; wreszcie Francja, która udzieliła mu na wiele lat gościny, pozwoliła rozwinąć skrzydła i gdzie zawsze był jego dom. Trudno więc się dziwić, że pani Nela łamała sobie głowę, jak by tu sprawiedliwie rozdzielić przedmioty, które otaczały ją przez całe życie, a nagle stały się dla świata bezcennymi skarbami. Myślę, że naprawdę trudno było podjąć decyzję. Kto wie, co działo się w jej sercu, aż do momentu, gdy wzruszona powiedziała w 1984 roku do otaczających ją łodzian:

— Kiedy tak patrzę na to wszystko, co w domu chowało się po kątach, a tutaj tak cudownie zostało wyeksponowane, to całe życie staje mi przed oczyma.

Z taśmy płynęły słowa Rubinsteina:

— Zwracam się do was z gadaniem... Lubię gadać, a nienawidzę pisać. I wszyscy na świecie to wiedzą...

Spod igły krążącej po czarnej płycie wypływały dźwięki. Na centralnym miejscu odlew rąk, wsparty na jaśniejącej w czerni plakatu klawiaturze. Mnóstwo zdjęć zrobionych przez najsławniejszych fotografików świata. Wiele w otoczeniu rodziny. Niektóre autorstwa córki Ewy. Dyplomy, ordery, doktoraty honoris causa, obywatelstwa honorowe: pośród tego ciekawostka — kilkanaście dyplomów The National Academy of Recording Arts and Sciences, z kolejnych lat, poczynając od 1962, na 1979 roku kończąc, za najlepszą interpretację instrumentalnej muzyki klasycznej. Ale najbardziej chyba wzruszającymi darami były osobiste rzeczy Rubinsteina — jego garnitury, koszule, krawaty, ulubione cygara z nazwiskiem, filiżanka do kawy, maskotki, wody kolońskie, komplet podniszczonych zdjęć, które zawsze woził ze sobą, chusteczki.

— Cóż ja mu mogłam dać — zwierzała się bliskim pani Nela. — On miał wszystko. Więc wyszywałam mu chusteczki z życzeniami udanego koncertu.

Za tę wystawę uhonorowano muzeum poważną nagrodą, uznając ekspozycję za najciekawsze wydarzenie roku 1984. Kiedy pojechałam do Łodzi po jakimś czasie, chciałam utrwalić ją w pamięci, ale okazało się, że... ekspozycję zamknięto, bezcenne pamiątki powędrowały z powrotem do skrzyń i trwa właśnie walka o trzy pomieszczenia, nie należące do muzeum, a pozyskanie ich jest wręcz koniecznością, jeśli te dwa tysiące darów ma kiedykolwiek ujrzeć światło dzienne.

* * *

Jest rok 1987. Styczeń. Miesiąc, w którym dokładnie sto lat temu Artur Rubinstein jako — wedle własnego określenia — „spóźniony i raczej nieproszony gość zapukał do furtki życia". Na domu przy ul. Piotrkowskiej 78, gdzie się urodził, błyszczy mosiężna tablica. Prawie dokładnie tam, gdzie nie tak dawno była umieszczona gablota reklamowa jednego z najlepszych szewców łódzkich. Nawet tutaj nie obyło się bez walki. No cóż, teraz sztuka jest takim samym rzemiosłem jak każde inne, a artystom nie przysługują bilety ulgowe w podróży do ludzkiej duszy.

Filharmonia Łódzka nosi (także po długich pertraktacjach) imię pianisty. Sala wypełniona do ostatniego miejsca. Na podium przed orkiestrą stoi John Rubinstein, najmłodsze dziecko Neli i Artura. Niezwykle młodzieńczy, emanujący radością życia jak ojciec. Dziś jego wielki dzień. Po raz pierwszy dyryguje na koncercie. Na pierwszy ogień idzie jego własna kompozycja — suita orkiestrowa z filmu „Amber Waves" (za tę muzykę otrzymał znaną nagrodę „Peabody"). Później koncert f-moll Fryderyka Chopina. Na sali siedzi przejęta pani Nela, jej najstarsza córka Ewa, młodsza Alina, oraz synowa, żona Johna — aktorka Judi West. Brakuje tylko Paula.

Antrakt.

— Wy, dziennikarze, jesteście jak szakale — pani Nela robi ruch, jakby chciała pozbyć się natrętnej muchy.

— Podobno dzieci państwa rodziły się w najprzeróżniejszych zakątkach świata?

— A tak, Ewa w Buenos Aires, Paweł w Warszawie, tuż przed naszym półrocznym wyjazdem do Chin i Japonii. Miałam wtedy prawdziwy dylemat, czy jechać, czy zostać z trzytygodniowym niemowlęciem. Wybrałam męża. Był to ciężki okres, nie mogłam dość szybko otrzymywać wiadomości z Warszawy i denerwowałam się bardzo, mimo iż dziecko pozostało pod dobrą opieką. Alina i Jan urodzili się w Kalifornii, po dziesięciu latach przerwy. Miałam więc w domu dwie pary. A teraz najstarszy wnuk ma już 28 lat.

Prawdziwy zjazd rodzinny. Jedynie Paul, zajęty interesami, nie dotarł.

— Czy pani wie, że to imię na cześć skrzypka Pawła Kochańskiego, przyjaciela męża? Umarł wcześnie. Miał czterdzieści parę lat. Akurat urodziła się Ewa. On i Karol Szymanowski to byli dwaj najwięksi przyjaciele męża, prawie bracia. Później

Ewa, Alina, Nela i John Rubinsteinowie w Łodzi.

Fot. Tomasz K. Komorowski

Artur już nie znalazł nikogo tak bliskiego.

Paweł jako jedyny z rodzeństwa nie zajmuje się muzyką. Jest biznesmenem, także świetnie gotuje. Napisał nawet trzy książki kucharskie. Ktoś musi być podobny do matki. Artur Rubinstein w drugim tomie swoich wspomnień, które, miejmy nadzieję, za rok będziemy mogli przeczytać w całości, pod niebiosa wychwala kulinarne talenty Neli: „Nela stała się jedną z najlepiej znanych gospodyń w mieście [Paryżu — przyp. I. F.]. Jej talent kucharski zwabiał do naszego stołu wszystkich smakoszy Francji".

— Jeśli chodzi o gotowanie, to Artur inspirował mnie bardzo, ponieważ uwielbiał dobre jedzenie. A objawiało się to różnie. Kiedyś, na przykład idę z jego ulubionymi kołdunami, a on pada przede mną na kolana. Mało brakowało, a byłby mnie razem z tacą przewrócił. Często i na różne sposoby przygotowywałam kurczęta. Za innym mięsem nie przepadał. Był natomiast amatorem zupy grzybowej. Gotowanie wiązało się z naszymi ciągłymi podróżami po świecie. Wspólny posiłek szalenie zbliża ludzi. Przecież wszystkie obrządki kończą się jedzeniem, czy to ślub, czy fetowanie narodzin lub stypa po śmierci... Zdarzało się, że siedzieliśmy przy stole, godzinami rozmawiając, bawiąc się z dziećmi, czasem nawet aż do następnego posiłku. I może między innymi dlatego, mimo wielu rozstań, stanowimy zżytą rodzinę.

— Podobno jest pani autorką książki kucharskiej?

— A tak. Jej tytuł brzmi: „Nela's Cook Book". Została wydana w USA. Miała niezłe recenzje. Może dlatego, że zawiera moje własne, wypróbowane przepisy. Najtrudniej było, gdy musiałam podać, ile czego trzeba wziąć do gotowania, bo ja wszystko robię na pamięć. Teraz także gotuję. Jeśli odwiedzam moje dzieci w Stanach, staram się ulokować blisko nich, aby mogły wpaść i najeść się do syta.

John wraca na podium. Do drugiej części wybrał „Walce szlachetne i sentymentalne" M. Ravela oraz „Amerykanina w Paryżu" Gershwina.

— Powiedziano mi, że jeśli ma być amerykańska muzyka, to koniecznie Gershwin, bo bilety lepiej się będą sprzedawać. Może na przykład „Błękitna rapsodia". Nie lubię jej. Pomyślałem: „Przecież jest to koncert z okazji setnej rocznicy urodzin mojego ojca. Był Amerykaninem i mieszkał w Paryżu". Niech więc będzie „Amerykanin w Paryżu" — mówi potem John.

Syna, podobnie jak ojca, cechuje duże poczucie humoru. Poza tym talent. Nigdy tak naprawdę nie studiował muzyki. Jego szkołą były podróże z ojcem, podsłuchiwanie go na próbach, codzienne stykanie się z orkiestracjami wielkich kompozytorów.

— I to wystarcza by komponować muzykę? Pisać nuty?

— To dlatego, że mam dobre ucho. No i może jestem też trochę zdolny — odpowiada ze swadą. — Kiedy ojciec słuchał muzyki napisanej przeze mnie, pytał jak teraz pani: „Jak nauczyłeś się tego wszystkiego?" A ja odpowiadałem: „Przy tobie". To mu sprawiało przyjemność. I był ze mnie dumny.

John Rubinstein lubi pracować z reżyserami, którzy adorują muzykę, traktując ją jako ważne dopełnienie filmu. Taki jest Sydney Pollack. Współpracowali ze sobą przy filmie „Jeremiah Johnson". Niedawno w TVP oglądaliśmy „Lalczarkę" ze wspaniałą Jane Fondą. Czy ktoś zwrócił uwagę na planszę z napisem: „Music — John Rubinstein?" Mówi się o nim także jako o aktorze. Jak dotąd, aktorstwo jest to chyba najpoważniejsza jego rola życiowa, oceniona mnóstwem prestiżowych nagród, między innymi TONY za pomysłową i oryginalną grę w sztuce pt. „Children of a Lesser God". EMMY za sportretowanie postaci Jeffa Maitlanda w serialu nadawanym przez pięć lat w amerykańskiej telewizji, zatytułowanym „Rodzina". W 1981 roku John Rubinstein zadebiutował jako reżyser. Poza tym co tydzień Amerykanie słuchają jego głosu przez radio, gdzie prezentuje godzinny program „ATT Presents Carnegie Hall Tonight". Rozmawia w nim z ludźmi występującymi w nowojorskiej sali, czyniąc to w sposób niekonwencjonalny, pobudzając do zwierzeń. Który z tych zawodów najbardziej mu odpowiada?

— Właściwie nie wiem. Uwielbiam wszystkie. Żyję trochę tak, jak bym się ślizgał na fali. Robię to, co mi jest w danej chwili najbliższe. Nie mam dalekosiężnych planów. Najlepszy przykład to zaproszenie do Łodzi. I nowa rola — dyrygenta.

— Czy jest pan sławny w Stanach?

— Kiedy występowałem dość często w telewizji ludzie mnie rozpoznawali, w restauracji, na ulicy. Mówili: „To jest ten... Jakże mu tam..." Nie, raczej nie mam sławnego nazwiska — powiada żartobliwie.

* * *

Pani Nela zapytana, czy jej mąż w młodości rzeczywiście bardzo mało ćwiczył, odpowiedziała:

— Tak. Pracował rzeczywiście krótko, ale za to bardzo intensywnie. Dwie godziny u niego równało się pięciu, sześciu godzinom pracy innego pianisty. Twierdził, że nie może się skupić i pracować produktywnie dłużej niż godzinę, ale trzeba też przyznać, że miał wyjątkowe zdolności. Bardzo często z braku fortepianu pracował na... stole. Przypominam sobie naszą podróż pociągiem do Padwy. Jechaliśmy w ciągu dnia. Wieczorem miał grać koncert. Patrzę, a on przegląda jakieś nuty i uderza palcami w stolik. „Co to jest?" — pytam. „To sonata Beethovena" — odpowiada. — „Jeszcze jej nie słyszałem, a mam ją dzisiaj grać". I rzeczywiście, ku memu zdziwieniu, grał ją tego wieczora. Trzeba przyznać, że miał wyjątkową pamięć wzrokową. Kiedy grał, to jakby przewracał stronice w głowie.

— Czy Artur Rubinstein miał swoje ulubione utwory?

— Nie, raczej nie. Gdy grał, obojętnie, co to było, stawał się innym człowiekiem. Po prostu kochał muzykę. Ale nie poznał za wiele utworów. Pod koniec życia nawet to sobie dość często wyrzucał. Twierdził, że jest zbyt leniwy, że gdyby więcej ćwiczył w młodości, mógłby więcej osiągnąć. Uważał, że nie ma dość techniki i każdy uczeń z konserwatorium gra lepiej od niego. Oczywiście to nie było prawdą i ciągle musiałam go o tym przekonywać. Myślę, że nie mógłby i tak osiągnąć nic ponad to, co stało się jego udziałem. Nie wyobrażam go sobie zamkniętego w pokoju i ćwiczącego godzinami. Był człowiekiem, który umiał korzystać z życia. Miał wszechstronne zainteresowania. Lubił sztukę i literaturę. Na całym świecie mieliśmy wspaniałych przyjaciół. W jego grze była zawsze jakaś pogoda. Słuchacze to czuli. Na koncertach zawsze widziałam uśmiechnięte twarze.

(Dokończenie nastąpi)

Irena Filus

Ekran i widz

„Nad Niemnem"

ZBIGNIEW Kuźmiński, przystępując do filmowej adaptacji najbardziej znanej i najlepszej chyba powieści Elizy Orzeszkowej „Nad Niemnem", poszedł drogą najprostszą, najbardziej pewną, i w tym wypadku chyba najsłuszniejszą. Postanowił przede wszystkim podporządkować swój film książce, dać na ekranie barwny, panoramiczny fresk życia litewskiej prowincji z lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, ukazać relacje między dworem a wsią (cóż z tego, że owa „wieś" to szlachecki zaścianek, skoro jednych „pieczętujących się herbem" dzieli od drugich kolosalna, wciąż pogłębiająca się przepaść) w trudnych dziesięcioleciach po Powstaniu Styczniowym.

I nie bał się także Kuźmiński powtórzyć w swoim „Nad Niemnem" pewnych naiwności i mielizn książki wielkiej pisarki, nie „poprawiając" jej, ani się nie dystansując do jej sposobu widzenia. Starał się zaś na ekranie podkreślić to czym film potrafi przewyższyć literaturę: wydobyć piękno krajobrazów, w których toczy się akcja „Nad Niemnem" podkreślić piękno tamtejszej przyrody. I także — piękno fizyczne oraz duchowe ludzi w tę przyrodę wtopionych. Wreszcie, a może przede wszystkim — głęboki patriotyzm ludzi, o których opowiada Orzeszkowa; patriotyzm silniejszy przecież od wszystkich animozji, osobistych urazów, klasowych przegród i ekonomicznych uwarunkowań.

Nawet jeśli ów patriotyzm na chwilę przygasł, jeśli przysypany został popiołem przeżytych nieszczęść, to mimo wszystko w pewnym momencie musi wybuchnąć gorącym płomieniem — powtarza, z przekonaniem, za Orzeszkową autor filmu. Tylko we wzajemnym porozumieniu, wspólnej działalności, mimo dzielących ludzi oraz stany różnic, jest droga do zaradzenia ciężkiemu losowi Ojczyzny.

Barwna i dość przecież szokująca — jak na lata osiemdziesiąte XIX stulecia — intryga miłosna „Nad Niemnem": miłość nieposażnej „panny z dworu" do „prostego chłopca z zaścianka, tak mocno i dobitnie wyakcentowana na stronach powieści, była przecież jedynie tłem do stwierdzeń Orzeszkowej na temat patriotyzmu i konieczności i podziałów.

Powstała w 1887 r. powieść Elizy Orzeszkowej wynikła w dużej mierze z jej osobistego stosunku do sprawy Powstania Styczniowego, z jej własnego udziału w powstaniu późniejszym konsekwencji, jakie dotknęły przyszłą pisarkę oraz jej najbliższą rodzinę. Następnie — późniejszych wieloletnich przemyśleń na temat sensu patriotycznego zrywu, na koniec — pozytywistycznych haseł głoszonych przez autorkę.

Posażna ziemiańska panna z grodnieńskiego — wydana w wieku siedemnastu lat za bogatego właściciela dóbr na Polesiu, Piotra Orzeszko — podczas Powstania Styczniowego ukrywała przez pewien czas w swoim domu Romualda Traugutta. Jej mąż za udział w powstaniu poszedł na zesłanie, majątek został skonfiskowany przez władze carskie. Wróciwszy do rodzinnej Miłkowszczyzny, młoda kobieta, ze swoją nie ustaloną teraz sytuacją finansową żyjąca trochę „na łasce" rodziny (na dodatek jej małżeństwo było nieudane, rozpadło się) bez realnych widoków na przyszłość, przypominała trochę bohaterkę „Nad Niemnem" Justynę Orzelską, wychowanicę pozornie majętnego Benedykta Korczyńskiego, człowieka w gruncie rzeczy dobrego i szlachetnego, ale borykającego się z problemami gospodarczymi, finansowymi i wadzącego się nieustannie z Bohatyrowiczami z sąsiedniego zaścianka, z którymi wszak jego nieżyjący już brat walczył ramię w ramię w Powstaniu Styczniowym. Jak Justyna musi, w imię miłości, ale także w imię realizmu życowego, zdecydować się na stanowczy krok, pozornie prowadzący do pauperyzacji po opuszczeniu dworu, tak sama Orzeszkowa musiała podjąć dramatyczną decyzję opuszczenia Miłkowszczyzny i „stanięcia na własnych nogach" zajęcia się pisarstwem, pracą edytorską i... handlem (księgarstwo). Wieloletni „nieformalny" związek ze Stanisławem Nahorskim, na pewno ostro krytykowany przez konserwatywną część jej rodziny, to także jakiś tam refleks w powieściowej historii Justyny Orzelskiej (co za zbieżność nazwisk: bohaterki i autorki!), która odrzuca ofertę matrymonialną niezwykle bogatego, lecz mało wartościowego mężczyzny dla zwykłego skromnego, ale wartego miłości i poświęceń, człowieka. Przedstawiciela tej klasy, przed którą rysuje się prawdziwa przyszłość.

Justyna Orzelska i Jan Bohatyrowicz znajdują szczęście w zielonym krajobrazie — „szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionym" Wodą płyną łodzie z pięknymi dziewczętami i chłopcami śpiewającymi śliczne, często prawie zapomniane już przez nas, piosenki. Cudownie fotografowana przyroda budzi u wielu rzewne wspomnienia. Ale najbardziej dobitny akcent filmu Kuźmińskiego to scena pojednania starego Anzelma Bohatyrowicza z Benedyktem Korczyńskim, z myślą o wspólnej sprawie, jaka ich łączy i łączyć musi — o przyszłej Polsce.

Pisała tuż po XI Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdańsku na łamach „Filmu" (nr 40 z 6—12 października 1986 r.) Maria Brzostowiecka o ekranizacji „Nad Niemnem": „film, który zaoferuje wielkiej widowni zarówno walory powieści, jak i niebagatelny w naszych czasach klimat uspokojenia i refleksji. W wyrazie artystycznym i stylu można było z tego akurat pierwowzoru wydobyć więcej, ale i tak z przyjemnością ogląda się tę adaptację".

Można się całkowicie zgodzić z tymi słowami. I wybrać się koniecznie do kina na „Nad Niemnem". To kawał reżyserskiej roboty.

M. D.

Muzyka młodzieżowa

Zmysłowa Sade

BRYTYJSCY krytycy nazwali płyty Sade Adu muzyczną terapią dla znerwicowanych. Trudno nie zgodzić się z takim twierdzeniem, słuchając nastrojowych piosenek, wykonanych z wdziękiem i elegancją. Ich oszczędna, jazzująca aranżacja, niepowtarzalny klimat i subtelnie sączący się z głośników wokal solistki, koją nerwy słuchacza. Płyty tej wykonawczyni to świetna odskocznia od problemów, muzyczny relaks, pozwalający na totalny luz.

Sade nie tworzy przebojów do tańca w dyskotekach, ani do prezentacji na wielkich mityngach. Porusza się w małym świecie soulowej liryki miłosnej, podanej z kunsztem jakiego trudno byłoby spodziewać się od tak młodej, niedoświadczonej osoby. Muzyka Sade nie daje zamykać się w modnym szablonie. Klasyczny niemal repertuar, zinstrumentowany na jazzową modłę, można równie dobrze przypisać muzyce soul co i pop. Znakomicie wręcz nadaje się ona na kameralne występy w eleganckich lokalach rozrywkowych czy salach balowych Las Vegas. Tym bardziej, że Adu nie stosuje ekwilibrystyki wokalnej, nie krzyczy do mikrofonu wzorem rockowych gwiazd, ani nie łka słodkiego bel canto. Śpiewa niskim, prawie szepczącym głosem, a jest w nim magia sprawiająca, że płyty idą jak woda.

Debiutancki longplay „Diamond Life" („Diamentowe życie") przekroczył nakład 8 milionów egzemplarzy. Od takiego sukcesu niejednej gwiazdce przekręciłoby się w głowie, ale nie Sade. W rok później nagrała z towarzyszeniem własnej grupy jeszcze lepszy, bardziej swingujący album „Promise" („Obietnica"). Słucha się go niczym zaczarowanej baśni, bez obawy o nagły przesyt nastroju. Decyduje o tym parę czynników. Pełne mistycyzmu kompozycje, zmysłowy głos solistki, wspaniała praca akompaniujących muzyków (zwłaszcza saksofonisty Stuarta Matthewmana) jak też świetna robota realizatora dźwięku. Nagrań albumu „Promise" dokonywano w słynnym studiu Power Plant w Willesden oraz Studio Miraval we Francji, gdzie jak można się przekonać wybornie zrozumiano intencje ciemnoskórej wykonawczyni.

Fot. Archiwum

Nazwisko brytyjskiej piosenkarki, urodzonej w Nigerii, pojawiło się po raz pierwszy na łamach prasy muzycznej w 1984 roku wraz z premierą wystrzałowego singla „Smooth Operator". Robił on furorę także i u nas. Nikt nie przypuszczał jeszcze wtedy że zapowiada się nowa sensacja muzyczna, zagrażająca powodzeniu śpiewających pań ze światowego topu. Album „Diamond Life" z wysmakowanymi kompozycjami „Your Love Is King" i „When I Going To Make A Living" rozwiał wszelkie wątpliwości. Recenzenci nie ukrywali zachwytu nad zdolnościami wielce utalentowanej, tajemniczej debiutantki.

Do studia nagrań trafiła podobno przez przypadek. Zanim zaproponowano jej rolę chórzystki, była wziętą projektantką mody męskiej i fotomodelką. Sprawdziła się w obu rolach całkiem nieźle, a jednak porzuciła je bez żalu, kiedy nadarzyła się okazja podjęcia muzycznego wyzwania. Poszukiwała długo odpowiednich kontaktów, aż natknęła się na zespół Pride. Została na początek jego drugą wokalistką, a później zdołała przekonać muzyków do zmiany stylu i nazwy. Przyjęto jej propozycje bez oporów, co oczywiście opłaciło się muzykom sowicie. Saksofonista i gitarzysta Stuart Matthewman, basista Paul Denman, pianista Andrew Hale i perkusista Paul Cooke zrobili znakomity interes. Mają teraz stałe zajęcie i zapewnione powodzenie na dłuższy czas. Potężna machina show businessu upowszechniła ich dokonania studyjne w milionach egzemplarzy płyt.

Główna bohaterka tej sensacji — Helen Falusade Adu — może być z siebie zadowolona. Osiągnęła nie tylko satysfakcjonujące ją brzmienie, ale i błyskawiczny sukces, zadające kłam twierdzeniu, że sensacja musi być odpowiednio sprokurowana przez sztab producentów, realizatorów i speców od reklamy. Powodzenie zawdzięcza przede wszystkim sobie — swojemu talentowi, konsekwencji w pielęgnowaniu „klimatycznego" brzmienia i zmysłowemu głosowi, który przekonał opory największych malkontentów.

W plebiscytach powodzenia, prowadzonych przez poczytne periodyki, postać „Koronowanej głowy", jak biegli w egzotycznych narzeczach przetłumaczali nazwisko ciemnoskórej piękności, wyprzedziła Madonnę, Annie Lennox, Sanrę i parę innych gwiazd z pop-rockowego panteonu. Madonna miała na swą obronę niebywałą reklamę, szałowe kostiumy i fryzury, a także bardzo melodyjne piosenki. Sade zwyciężyła skromnością wyglądu i powściągliwą muzyczką, przyprawiającą słuchaczy o dreszczyk emocji. Po prostu wiedziała dobrze, dla kogo nagrywa swe piosenki. Postawiła na subtelność i elegancję, sprawdzające się w każdym czasie, bez względu na panującą modę.

Zachwycając się jej produktami, możemy być pewni, że następny krążek przyniesie nie mniejsze atrakcje. Gwarantuje je wyrobiony smak wykonawczyni i ten luz, jakiego nie spotkałem na żadnej płycie gwiazd z lat osiemdziesiątych.

Istvan Grabowski

Chory, biedny i zdemoralizowany

Dokończenie ze str. 1

Dyscypliny, które reprezentuje czołówka Anno Domini 1986 (bo w kategoriach dyscyplin pozostańmy, by nie urazić indywidualnego wysiłku sportowców), to: zapasy, kajakarstwo, sport lotniczy, tenis stołowy, strzelectwo, alpinizm, podnoszenie ciężarów i judo.

Zapasy mają u nas bogatą, medalową tradycję. Tylko czy wyzwalają ogromne, masowe emocje? Czy same w sobie są wykładnikiem sportowej potęgi danego kraju? Czy polskie zapasy, reprezentowane w plebiscytowej „dziesiątce" przez dwóch zawodników, to światowa potęga jako dyscyplina?

Kajakarstwo — sport jakby na uboczu, skupiający w naszym kraju garstkę zapaleńców i pasjonatów. Wynik Marka Łbika i Marka Dopierały to wielki sukces; czy polskie kajakarstwo jest wielkie?

Sport lotniczy — ogromne tradycje, które nie giną. To dobrze. O naszych pilotach nadal głośno w świecie. Pech tylko chce, że czasy ogólnonarodowej euforii po wyczynach Żwirki i Wigury należą już do przeszłości, a nawet Charles Lindbergh to także historia. Ilu kibiców podąża dziś z drżeniem serca na pola startowe mistrzów pilotażu? Ilu nieprofesjonalistów na świecie zna nazwiska naszych asów?

Alpinizm — wspaniała samotna walka z naturą, losem i własną słabością. Wyczyn godny podziwu i najwyższego szacunku. Cóż, kiedy owe zmagania toczą się przy martwej widowni, a niektórzy wątpią nawet, czy to naprawdę sport. Może eksploracja?... Włoch, który pokonał w korespondencyjnym pojedynku naszego mistrza Kukuczkę, zdobył wszystkie ośmiotysięczniki w Himalajach. Żaden sportowy plebiscyt na świecie nie ujawnił go wśród swoich wybrańców.

Strzelectwo — to piękny i elitarny sport. Tu także od lat notowaliśmy niemałe sukcesy. Ilu młodych chłopców marzy o tym, by trafiać do sylwetki pędzącego dzika? Jak się ma celne oko do tężyzny narodu?

Podnoszenie ciężarów — niegdyś mocna, „polska" dyscyplina. Cóż, kiedy nawet w czasach swej największej świetności, w dobie Baszanowskiego i Smalcerza, mieli nasi atleci kłopoty ze znalezieniem się w pierwszej plebiscytowej dziesiątce. I judo — robiące u nas zawrotną karierę. Tylko czy tak naprawdę liczące się w świadomości milionów kibiców? Choć może już najbliższe tej masowości, fascynacji kształtowania ciała i ducha.

Polski sport jest chory.

Dyscypliny, które elektryzują milionową widownię, które stanowią o wartości szeroko pojętego sportu w każdym kraju, które skłaniają do naśladownictwa tysięczne rzesze młodych dziewcząt i chłopców — ponosiły klęskę za klęską, zaznaczały imię Polski na dalekich miejscach w światowych rankingach.

Polski sport jest biedny.

Dyscypliny, które wymagają nakładów pieniężnych, gdzie konieczny jest wysokiej klasy sprzęt, gdzie podstawą sukcesu jest stała, ostra rywalizacja w gronie potentatów — przynosiły rozczarowania. Ile polskich klubów, choćby piłkarskich, posiada zaplecze na europejską skalę?

Polski sport jest zdemoralizowany.

Dyscypliny kolektywne, grupowe, wymagające zbiorowego wysiłku, poświęcenia własnego gwiazdorstwa na rzecz kolegów z drużyny — owocowały porażką. Ciągły kalejdoskop zmiany barw klubowych ujarmarcznił przywiązanie do firmy, do barw, do tradycji. A ilu młodych ludzi może i ma warunki, by uprawiać u nas lotnictwo, kajakarstwo, strzelectwo czy alpinizm? Jaki jest wykładnik kultury fizycznej kraju, w którym to, co najlepsze, skupiło się w tak elitarnych dziedzinach?

Światowe plebiscyty wyłoniły swoich najlepszych — Maradona i Drechsler. Piłka nożna i lekka atletyka. W tym gronie zabrakło Polaków. Zabrakło także alpinistów, strzelców i pilotów.

Najlepszym piłkarzem zagranicznym grającym w Bundeslidze okrzyknięto Okońskiego z Hamburger SV, trzeci był Smolarek z frankfurckiego Eintrachtu. Zaś jedynym naprawdę znanym sportowcem w naszym plebiscycie jest Andrzej Grubba z TTC Zugbruecke Grenzau.

Czekając zatem, aż w plebiscycie zwycięży brydżysta, biję brawo wraz z redaktorem Niemcem z krakowskiego „Tempa" jednemu z antybohaterów polskiego sportu 1986 — Centralnemu Ośrodkowi Sportu — za wyprzedaż polskiego wyczynu do zagranicznych stajni.

Wiesław Horabik

Staropolski karnet karnawałowy

Moda na reduty

W XVIII WIEKU w dużych miastach zapanowała moda na publiczne zabawy maskowe. Początkowo organizowano reduty tylko w karnawale, z czasem stały się całoroczną rozrywką.

Uczestnicy redut — niezależnie od urodzenia i tytułu, co było wówczas nowością — uiszczali odpowiednią opłatę za wstęp. Bawiła się więc równo i pospołu szlachta z patrycjatem i pospólstwem. Szewcy z hrabiami, krawcy z książętami. Jak wszyscy, to wszyscy, dopóki balującego nie „zdemaskowano", czyli nie uchylono, bądź sam nie utracił obowiązującej na redutowej uciesze maski. Liczyć się wtedy musiał z nieprzyjemnościami, ba, nawet i afrontami. Baczono jednak, by się owe afronty w burdy karczemne nie zamieniały, pleniono je z redut starannie, nie dopuszczając nawet do noszenia przez gości broni.

Opłacony wstęp dawał prawo do korzystania ze światła i kapeli. Za konsumpcję zaś płacono oddzielnie, a że tania nie była, pito więc oszczędnie lemoniadę, orszadę, herbatę i kawę, a gorącą czekoladę w filiżankach. Kto był przy pieniądzu, fundował sobie — i nie żałował — piwa, importowanych win, zakąsek wszelakich i gorącą kolacyją. Tańczono więc, flirtowano, grano w karty, plotkowano i intrygowano lub tylko przyglądano się bawiącym.

Vivat polonez!

„WIĘKSZA NIŻ W CUKRZE jest rozkosz w taneczku, gdy się przy grzecznym skacze pachołeczku" — w myśl tej mieszczańskiej rymowanki tańczono na redutach, balach i ueztach ochotnie.

Dostojeństwa dodawał staropolski polonez, tak podziwiany przez cudzoziemców. Koronną cechą tego tańca było przewodnictwo, owo „przodkowanie" par, ukłony, posuwistość kroku, rozdzielanie się i odchodzenie od siebie par, wyniosłe, dumne postawy i miny tańczących. Aliści polonez polonezowi nie był równy, tańczono więc arystokratyczną jego odmianę, ów „taniec polski" i „szlachecki wielki", takoż „pieszy" i ludowy „chodzony", „polski", „wolny" i „przodek". Tańczono, przyśpiewując i dwie godziny nieraz, z przerwą na spełnienie obfitego zazwyczaj objętością pucharа toastu.

A potem puszczano się w „goniony" — pradziad mazura; „cenar" i „firlej" — cudzoziemskie pląsy; w „okrągły" — łącząc poloneza z mazurem, i „żołnierski", tudzież „hajduk". XVIII-wieczna elita towarzyska wywijała francuskie menuety, gawoty, kadryle, i angielskie anglezy.

Jakie by zaś nie tańczono tańce, ganił je srodze ks. Wujek, uważając, iż taniec to „warsztat każdej wszeteczności, cudzołóstwa i wszelkiego zbytku i cielesności, tam nieuczciwe dotykania, tam wszeteczne szeptania, namowy, śpiewania, całowania, a jednem słowem wszystek niewstyd okazać, rozmnażać się musi"... Luby niewstyd, przyznajmy zgodnie.

Kult mocnej głowy

PANOWAŁ NIEPODZIELNIE w XVIII-wiecznej obyczajowości. Sięgnijmy tylko do dokumentów literackich tamtej epoki. Wino i inne trunki lały się nieprzerwaną strugą, głowy kurzyły się, nogi plątały, a gardziele emitowały pod niebiosa „przebój" ks. Franciszka Bohomolca: „Skoro się przytknie rękę do butelki, znika natychmiast smutek serca wielki. Wołajmy tedy, dzwoniąc kieliszkami, kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami!".

Obfitość staropolskiego stołu

TOMY CAŁE SPISANO o przysmakach i obfitościach staropolskiej kuchni, ostrej, korzennej, pikantnej i tłustej. I przedziwnie zdobionej owym, równie co i epoka saska rozpustnym decorum.

Czy ktoś dzisiaj wie, jak preparowano drób, by z półmisków wzlatywał niby żywy? Oto brano kurę lub gęś dorodną, spajano ją alkoholem, oczyszczano z pierza i nieprzytomną ż y w c e m pieczono! Chłodząc jej mózg i serce wilgotną gąbką, z przejęciem wielkim podawano na półmisku. A kiedy biesiadnicy sięgali po nią, kura cuciła się i resztkami życia zrywała do lotu. Uciecha powszechna i... okrutna w niczym nie mąciła apetytu, z którym chrupano żywą jeszcze nieboraczkę. Smacznego? Całe szczęście, że nie przyjęło się to curiosum tak ochotnie, jak inne cudzoziemskie mody.

Pora na figle

RÓWNIE, CO STAROPOLSKI STOŁ i piwnice, bogaty był arsenał staropolskich figli, a dowcipów wzajem prawionych. Oto niektóre z nich, kalibru przeróżnego, a więc: „chrząszcz" — przyczek za kołnierz; „ślimak" — muśnięcie ośliniony palcem po twarzy; „poczta" — zapalenie natłuszczonego, złożonego komuś na bucie kawałka papieru, który płonąc, parzył nogę; „finfa" — śpiącemu lub pijanemu wkładano do nosa skręcony papier, który podpalano...

Do powszechnych należały figle w rodzaju wycierania talerzy zwisającymi rękawami kontuszów, czasami — ogonami psów, co się liczną sforą pod pańskimi stołami kręciły; cięto też dla śmiechu nożami szaty, strojono błazeńskie miny za plecami panów, i co należało do stałego repertuaru służby — grabiono kosztowną stołowiznę.

Połammy trochę głowę

BO ZAISTE STAROPOLSKIE zagadki wielce pikanteryjne były. Który zatem święty ma dwie głowy? — pytano. — A, święty stan małżeński; jako że z dwojga osób złożony, musi mieć nieodmiennie wszystkie członki ciała swego doczesnego dubeltowe. Jakie dwie rzeczy nie cierpią towarzystwa? Kochanie i panowanie. Jakie cztery rzeczy utaić się w domu nie mogą? Ogień, kochanie, kaszel i swary. Co pannie czynić, by dziecię miała? Dać jej w ręce...

Uciechy tajemne

JAKO SIĘ RZEKŁO, na balach, redutach, ansamblach mocno flirtowano. Jak całą sprawę uczynić było dyskretnie? Przytoczmy opis, zanotowany skrzętnie przez znawcę nad znawcami obyczaju, Jędrzeja Kitowicza: „Na dziedzińcu przed pałacem redutowym stały karety najemne przez całą noc dla odwożenia i przywożenia redutników. Kto wtedy chciał ukraść cudzą żonę albo córkę na godzinę, sekretnie wyniósł się z nią z redut, czego w wielkiej kompanii dostrzec trudno było. Wsiedli do karety i albo się zawieźli do jakiego domu, z którego był kawaler lub dama, albo też, kazawszy się wozić w karecie stangretowi po odległych ulicach, w niej się zjeżdzili i jakby nic powrócili na reduty, z osobna i nieznacznie jedno za drugim wchodząc między kompaniją, między którą daremnie przez ten czas szukał mąż żony albo matka córki. „A gdzieś ty była?" — pyta znalazłszy. „Nigdzie — odpowiada śmiało — tańcowałam i chodziłam po pokojach". Na tym poprzestać musiała inkwizycja, nigdy w takim zawikłaniu nie docieczona.

Krajobraz po bitwie

A NAD RANEM? Tak oto odmalował w swoim „Ogrodzie fraszek" widok sal rozbawionych, komnat roztańczonych, salonów rozbalowanych Wacław Potocki: „Po wczorajszym bankiecie wynidą z pokoju, aż w izbie pełno krwie, szkła, obu końców gnoju; temu księdza, owemu balwierza prowadzą, ci jednają, drudzy dopiero się wadzą, ten okradziony biada bez czapki, bez szable, ten się potłukł, ten bluje...".

Końcówka dzisiaj

SALA BALOWA PUSTOSZAŁA. Orkiestra wyrzępoliła jeszcze jakieś tango, po którym Irena z Tadeuszem wyszli.

Czapy śniegu nakryły rzadkie chojaczki, które porastały zakładowy skwerek. Przysiedli w ciasnym przytuleniu na ławce. Padał śnieg. Zdmuchiwali płatki ze swoich twarzy. Na nocny autobus nie było co liczyć, zbliżała się pora dziennego już kursu.

Ktoś łaził między choinkami i grzebał patykiem w śniegu.

— To przecież pan Edek — zdziwili się.

— Szuka pan grzybów? — zapytali żartobliwie.

— Nie grzybów, a szczęki — zaseplenił pan Edek. — Tu, gdzieś wyrzygałem tę przeklętą jarzynową sałatkę razem z protezą... Nie mogę trafić na to miejsce!

Irena z Tadeuszem huknęli śmiechem, opadając na podtopnioną już ze śniegu ławkę. Ktoś w oddali chrypiał „La Cumparsitę", przytupując dla rozgrzewki.

(d)

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (zastępca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Marta Denys, Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (komentator).
Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu we wtorki w godz. 14—16.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, zast. redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.
Zam. 143. 30.01.1987 r. Z-4.

Krzyżówka nr 3 szyfrogramu literackiego

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment tekstu pochodzącego z książki znanego autora. Pierwsze litery 29 początkowych wyrazów pomocniczych utworzą imię i nazwisko tego pisarza i tytuł książki, z której pochodzi cytowany fragment. Czarne kratki w diagramie odpowiadają przerwom między wyrazami.

Wyrazy pomocnicze

1. twórca filozofii cyników — 16. 43 129. 142. 80. 56. 45. 72. 103. 62.
2. w znanym walcu „leśne" — 20. 57. 114. 51. 33. 82. 12. 121.
3. zmierzanie do celu — 23. 13 25. 68 83. 132. 124.
4. do wycierania po myciu — 17 49 27. 3. 97. 110. 50.
5. samolubstwo — 19 104. 9. 138. 18 102.
6. butla do wina — 87. 77 106 127. 7. 53.
7. przeczucie, domysł przyszłości — 21. 128. 46. 65. 107. 75. 137. 41.
8. mocny, gruby kij — 78 116 44. 133.
9. miasto w Zagłębiu Ruhry — 37. 42. 55. 134. 123.
10. miasto w Radomskiem znane z wojny 1939 r. — 28. 86. 90. 113.
11. słynie porcelaną — 38. 67. 74 135. 93. 61
12. do wbijania gwoździ — 66. 60 88. 92. 130. 48.
13. najpożywniejsze w ziarnie — 73. 30. 140. 64. 109. 91.
14. działanie z niepewnym skutkiem — 2. 35. 141. 26. 93. 79.
15. wsie na Kaukazie — 29 144 122 4.
16. miasto w Słowacji ze swymi górami — 131. 86. 58. 105. 136. 34. 59.
17. stan w USA — 63 94 10. 117
18. podpiera to, co wyżej — 5. 40. 146. 115.
19. wielobarwna po deszczu — 6 70. 14. 112. 54.
20. własne obejrzenie — 22. 11. 71. 24. 139. 8. 69. 90.
21. zdobią męską twarz — 31. 119. 145. 47.
22. kuguar — 120. 89. 15. 84.
23. aromatyczny napój — 81. 101. 118. 96.
24. gra w tenisie — 125, 111, 143.
25. rybacki zbiór — 1. 126. 36. 52. 95.
26. jedno ze zbóż — 32. 39. 76. 108. 100.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 1 SZYFROGRAMU LITERACKIEGO

...bo gęba potrzeby ma niewielkie i odkąd skalkulował, że wobec braku konkurencji brać może i dwieście złotych od konia, kuje tylko jednego na dzień, jako że wódki więcej niż za dwieście złotych nie wypije.

ROMAN BRATNY
Rok w trumnie

1	2	3	4	5	6	7	8	9
15	16	17	18	19	20	21	22	
28	29		30	31	32	33	34	35
41	42	43	44		45	46	47	48
54		55	56	57	58	59	60	61
66	67	68	69	70	71	72	73	74
80	81	82	83	84	85	86	87	88
94	95	96	97	98	99		100	101
107	108	109	110	111		112	113	
	120	121	122	123	124	125	126	
133	134	135	136	137	138		139	140

Nagrodę wylosowała Zofia Marcykiewicz, ul. Kościuszki 1 m. 1, 26-520 Wierzbica k. Radomia

Rozwiązanie konkursu na dokończenie humoreski

W numerze świątecznym wydrukowaliśmy początek humoreski, zwracając się do Czytelników z propozycją jej dokończenia. Otrzymaliśmy 18 odpowiedzi. Wśród wszystkich uczestników naszego konkursu rozlosowaliśmy trzy nagrody. Bon książkowy wartości 1000 zł otrzymuje WALDEMAR SZUMNY (Ostrów, 23-205 Popkowice, woj. lubelskie), natomiast dwa przedwojenne numery „Kameny" — JANUSZ OLCZAK (20-843 Lublin, ul. Koncertowa 7 m. 117) i MARIAN GOŁDYN (28-100 Busko-Zdrój, Osiedle Sikorskiego 4 m. 3). Za najlepsze uznaliśmy dwa dokończenia humoresek, nadesłane przez wspomnianego p. JANUSZA OLCZAKA oraz p. KRZYSZTOFA ZAŁUSKIEGO (Lublin, ul. Dunikowskiego 11 m. 6). Drukujemy te teksty, autorzy otrzymają nagrody pocztą. Dziękujemy!

Krzysztof Załuski

DALSZE rozważania przerwały dziwne odgłosy za drzwiami — ktoś przewracał krzesła, biegł w pośpiechu. Wreszcie stanęła przed nami sprzątaczka, pani Miecia. W lewym ręku trzymała ogromną szmatę, w prawej — szczotkę, wyglądała bardzo groźnie.

Kazik czmychnął pod stół, ściągając przy okazji obrus, na którym stały szklanki z herbatą. No i wtedy zakotłowało się na całego!

— Jaka cholera naniosła tu tyle błota, co? — zagrzmiała pani Miecia.

— Właśnie przeprowadzamy konkurs na stanowisko dyrektora — nieśmiało szepnął Jurek.

— Dyrektora?! Jeszcze im mało! W domu, po robocie, możecie sobie tak się zabawiać, ale nie tutaj!

Zanim Kazik wygramolił się spod stołu, oberwał kilka razy szczotką. Pani Miecia nie znała się na konkursach.

Zdyszani wpadliśmy do sąsiedniego pokoju, ale i tu dobiegł nas głos sprzątaczki:

— Ja im dam dyrektora! Dzień za krótki, aby po czterech gabinetach posprzątać, a oni chcą tu jeszcze jednego wsadzić, psiajuchy!

Popatrzyliśmy na siebie w milczeniu. Kazio wyprostował obolałe plecy.

— No to co, panowie... — wyjąkał.

Doszliśmy do wniosku, że nic tu już po nas. Z kim jak z kim, ale z panią Miecią musieliśmy się liczyć. Nasz zakład był wprawdzie niewielki, ale produkowaliśmy świeczki, do których musieliśmy importować knoty. Pani Miecia miała kuzynkę mieszkającą stale w jednym z mniej zaprzyjaźnionych z nami krajów i właśnie ta kuzynka stale przesyłała jej w paczkach odpowiednie knoty. Bez tego wsadu dewizowego leżelibyśmy jak umarlaki, a do tego przecież w interesie ogółu nie można było dopuścić!

Rys. Józef Tarłowski

Janusz Olczak:

KOLEJNYMI kandydatami byli: pewien magister polonistyki (były linoskoczek, kościelny i pływak), główny technolog wytwórni wazeliny (ten miał największe szanse bo chemik-konstruktor), człowiek wytrzepany z rękawa (podobno były lotnik, nieaktualny mistrz świata w akrobatyce napowietrznej), jegomość z jarzącymi się oczami (z wieloletnią praktyką w elektrowni) oraz facet ze świeczkami w oczach (notoryczny konfliktowy, który nadojadł wszystkim dokoła, jeszcze go tylko w wytwórni świeczek brakowało).

Ostatecznie szefem mianowano dyrektora fabryki świeczników, bowiem kto raz był „na świeczniku", ten problem świecy poznał od fundamentów i wie, że z najpiękniejszej nawet świeczki zostanie tyle, co w świeczniku, a reszta skapie.

Archiwum mistrzów anegdoty

Mark Twain podczas wizyty u swoich znajomych, paląc olbrzymie cygaro, rozsiewał po całym mieszkaniu popiół. Gospodarze zgarnęli popiół do specjalnego naczynka i poprosili Twaina o autograf. Pisarz na nalepce napisał: „Stwierdzam własnoręcznie, że są to rzeczywiście moje popioły".

• • •

Leon Schiller, piastujący stanowisko dyrektora Teatru Polskiego w Warszawie, został zupełnie nieoczekiwanie pozbawiony tej funkcji. Wyszedłszy z gmachu teatru, podszedł do kiosku i poprosił o ulubione papierosy „Mocne".

— Nie ma „Mocnych" — oświadczyła sprzedawczyni.

Na co Schiller pokiwał z aprobatą głową mówiąc:

— Ma pani rację, nie ma mocnych.

• • •

Świetnego pisarza, a jednocześnie lekarza — Alfreda Doeblina — zapytano, czy zdarzyła mu się w życiu jakaś niewymownie przykra pomyłka, której do chwili obecnej żałuje:

— Miałem taką — odrzekł pisarz. — Jeden z moich pacjentów wyzdrowiał już po pierwszej wizycie, ale dopiero po [illegible] dowiedziałem się, że był to miliner.

• • •

Bolesław Prus został poproszony przez młodego twórcę, który powoływał się na przyjaźń z jego ciotką, o ocenę jego nowego utworu. Prus po zapoznaniu się z tekstem oświadczył:

— To ja już wolę nie stracić przyjaźni pańskiej ciotki.

• • •

Do Bernarda Shawa zwrócił się ktoś o sprzedaż za pięć funtów kilku dowcipów.

— To byłoby niewygodne dla nas obu — oświadczył dramaturg. — Kiedy ktoś ujrzy, że mam pięć funtów, to od razu pomyśli, że je ukradłem. A kiedy pan opowie dobry dowcip, tak samo będzie wiadome, że to nie pańskie.

• • •

Znaną angielską pisarkę, Agathę Christie poproszono o ocenę zmian, jakie zachodzą w literaturze, na co oświadczyła:

— Kiedyś bohaterką romansu była mężatka mająca dzieci lub dziewczyna. Dziś jest odwrotnie: gdy bohaterką jest zamężna kobieta, nie ma dzieci, a jeśli dziewczyna — spodziewa się dziecka.

Wyszperał: **Ryszard Dunin**